# SIOSTRA GIERTRUDA.

POWIEŚĆ.

# SIOSTRA GIERTRUDA.

## POWIEŚĆ

wierszem napisana

PRZEZ

**Kazimierza Bujnickiego.**



WILNO.

DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1842.

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury. Wilno 1842 r. 29 Sierpnia.

*Cenzor* Jan Waszkiewicz.

Jaśnie Wielmożnéj

DOROGIE

Z HRABIÓW MORYKONICH

ŁOPACIŃSKIÉJ

w dowód czci i poważania

poświęcam.

# Siostra Giertruda.

## Powieść.

»Non la connobe il mondo.......
»Connobil'io...............

Petrarca.

Już znowu zima!— znowu na kominie
Brzozowe drewka buchają płomieniem.
Wieczory długie, czas leniwo płynie;
Jedni go pragną użyć, drudzy zabić:
Czy to, lub owo, ja siedzę kamieniem,
I nie dam siebie dziś z domu wywabić.

Wy takoż, przyjaciele, nie macie ochoty
Zwyciężać burze i słoty,
Utrzęsać kości po grudzie?—
Siedźmy więc.
—Zgoda!
—Jest poncz, są i fajki.
—By słodko usnąć trzeba jeszcze—bajki.
—Mam, lecz nie bajkę...
—Coż?
—Powieść prawdziwą
O siostrze Giertrudzie.
—Wesołą czy tkliwą?—
—Dobrą, by uśpić, jesli nie zabawić.

* * *

Znacie tę porę burzliwą
Ludzkiego życia, w ktoréj człek, jak we śnie,
Goniąc roskosze chwyta je zawcześnie?
Chciejcież więc sobie wystawić
Młodzieńca, pięknych zalet, pięknego imienia,
Rzuconego w ten odmęt, co my zowiem światem,
Bez przewodnika i bez doświadczenia.
Takim był Edmund. Od pieluch dziecinnych
Stąpał po drodze ubarwionéj kwiatem;
Rój słodkich uciech, roskoszy niewinnych,

Wił się w promieniach dni jego zaranka;
On w każdym swym kamracie widział przyjaciela,
Każda piękna dziewczyna miała w nim kochanka.
Bo w chwilach szczęsnych młodości,
Człek pod urokiem wesela,
Ciągle marzy o miłości,
Ciągle duszą przyjaźń chwyta:
A niechże kto go zapyta,
Co jest przyjaźń? co kochanie?
On za całą odpowiedź na trudne pytanie,
Wskaże mu liczny poczet wesołéj młodzieży,
Wskaże swą ładną tancerkę.
Ten, z kim czas mu bystro bieży,
Pełne ma prawo do jego przyjaźni,
Ta, co w nim żądzy roznieci iskierkę,
Co zmysły mile podraźni,
Stanie się jego przedmiotem miłości.—
Takim tedy był Edmund. Mimo swéj płochości,
Mimo całéj swéj swawoli,
Mógłby jednak bydź szczęśliwy:
Bo z latami te szały ustają powoli,
A byle tylko w sercu młodocianém,
Choć malutki, ale żywy,
Uchował się zaród cnoty,
Długo czy krótko, walka Anioła z szatanem
Skończyć się musi hańbą ostatniego.

Młodzieńcze szaleństwa, psoty,
To gaz spieniony na powierzchni czary
Pełnéj nektaru czystego.
Mówię tedy, że wszystkie młodości przywary
Nie były Edmundowi do szczęścia przegrodą:
Że w téj zgrai młodych trzpiotów,
W tym odmęcie czczych zalotów,
Spędziłby wiosnę życia, wprawdzie z wielką szkodą
Drogiego czasu i mienia;
Długoby umysł leżał w nim odłogiem,
Leczby ta niwa nie połknęła może
Chwastów szkodliwych nasienia.

Nieszczęście chciało, że z duszy swéj wrogiem
Spotkał się, właśnie przy najpierwszym kroku
Na błędne życia rozdroże.
W tłumie przyjaciół rozmaitéj barwy,
Jednego Edmund stale miał przy boku,
Na imie Bruno. Twarz jego foremna,
Wymowa słodka, postawa przyjemna!
Lecz pod zasłoną téj zwodniczéj larwy
Ukrywał duszę, jak dno piekła czarną.
Kiedy więc mój bohatér, jak łódka bez wiosła,
Pędził po zdradnych toniach, gdzie go fala niosła,
Bruno téj łódki był gwiazdą polarną.—
Spytacie, zkąd się wszczął związek tak ścisły?—

Zkąd pierwszego omamienie?—
Jakie drugiego zasługi?—
Oto, że płoche tamtego zamysły
Umiał do skutku przywodzić ten drugi;
Że uprzedzając życzenie,
Lub żądzę w młodym zbudziwszy występną,
Zadziwiającym fortelem,
Rzecz najtrudniejszą czynił dlań dostępną.
Tak to Bruno Edmunda został przyjacielem.
O wy, których życie w kwiecie,
Serca ufne, bez bojaźni!
Wy, co chętnie podajecie
Dłoń każdemu, który po nię
Sięga, pod hasłem przyjaźni!
Ufać ludziom wam nie bronię,
Bo ta ufność jest roskoszą;
Darzcie więc waszą miłością
Tych, co was o miłość proszą:
Lecz dla Boga! z ostrożnością
Względem takiego, co jak slizka żmija
U nóg się czołga, a poźniéj swe sploty
Wyżéj i wyżéj w koło was obwija.
Szklanki ten z wami nie wychyli do dna,
Głośno się nie rozśmieje, rzesko nie podskoczy,
Ani się gwałtownie wzruszy;
Twarz zda się pogodna,

Ale jéj wyraz — szyderski, bez duszy,
A zajrzysz mu w oczy,
Wnet brwi pomarszczy, chyże zaś źrzenice
Migocą, jakby w chmurze błyskawice.
Takich się bójcie, przyjaciele młodzi,
Taki wam człowiek straszliwiéj zaszkodzi,
Niżeli złodziéj, truciznik i zbójca.
Takim był Bruno. Wątpliwego rodu,
Nikt go w tych stronach nie widział za młodu,
Nikt nie znał matki, ni ojca.
Jak pasorzytna zdradziecka roślina
Chytrze się tuczy drzew szlachetnych sokiem,
Jak bluszcz dusiciel, co wijąc się wśpina,
Jak żółty jaskier, i bielun cuchnący,
Wonnéj murawy kalają kobierce,
Tak się on zjawił przed rokiem,
Tak zrazu mało znaczący,
Wzrosł, i Edmunda opanował serce.
Jednego ranka, (a miastowy ranek
Świta około naszego południa),
Edmund z miękkiego podnosił się łoża,
Wzniesione zwoje bławatnych firanek
Kształtną młodzieńca odkrywały postać;
Ale myśl jakaś widać go zatrudnia,
Bo jedną nogą dotyka podnoża,
Drugiéj nie widać, (musiała więc zostać

Pod tyftykowém pościeli przykryciem),
Brodę na dłoni, a łokieć
Na gierydonie oparł jak z niechcenia;
Białemi zęby różowy paznokieć
Zlekka przygryzał. Jakażby przyczyna
Rannego tego marzenia?
Czy coś dawnego sobie przypomina,
Czy też nad świéżą tak duma przygodą,
Czy we śnie widział jaką piękność młodą?
Bądź co bądź, dusza jego jest wzruszona,
Chociaż bydź może na krótko.
Wtém drzwi ukrytych szkarłatna opona
Lekko się wstrząsa i ktoś wszedł cichutko:
To Bruno. Stąpał, jak kot, bez szelestu,
Wytrzeszczył oczy jastrzębie,
Rzucił wzrok bystry na zadumanego,
I usiadł w kącie, czybając zapewne
Jakiego słowa lub giestu,
Coby mu odkrył skryte duszy głębie.
Nie długo czekał, bo z serca młodego
Każde uczucie, radośne lub rzewne,
Szybko się w usta przelewa.
Wnet też rozpoczął Edmund jednomowę,
I tém bezpieczniéj, że się nie spodziewa,
By miał słuchacza tak blizko.

»Ona mi (rzecze) zawróciła głowę!
Takiéj dziewczyny w życiu nie widziałem,
Jest to cudowne zjawisko,
Istota wyższa, czystsza od ziemianek!...
Takąm cześć ku niéj powziął, że nie śmiałem
Mówić jéj o méj miłości.
Ja, com tyle miał kochanek,
Ja, wyćwiczony w sztuce bezczelności,
Com mniemał wszystko z kobiétami możném,
Raz pierwszy byłem przejęty
Dziwném uczuciem, bo coś jakby trwożném.
Niech Bruno temu nie wierzy,
Jest w niewinności jakiś urok święty,
Któremu hołdować trzeba;
Niechby on, który materjalną skalą
Nadziemskie przedmioty mierzy,
Ujrzał tę prawą posłannicę nieba,
A serce jego, choć okryte stalą
Potrójną nawet, choć wykute z głazu,
Zmiękłoby—ręczę—do razu."—

(*Tu Bruno skrzywił usta szyderskim uśmiéchem, Edmund zaś swój monolog tak daléj prowadził*).

»Zwodzić to dziecko, nie byłożby grzechem?...
Chciałbym jednakże, by kto mi poradził,
Jakby dójść życzeń mych celu......
Ożenić się?... O, na to nie trzeba fortelu!

Ale w mym wieku to rzecz niesłychana....
PrzytémHrabina.... i tu sęk nie lada...
Nagle ją rzucić, takoż nie wypada...
Chociaż w jéj sercu nie tak straszna rana,
By się wkrótce nie zgoiła...
Gorsza, że się jéj boję. Wstyd, że mię podbiła.—
Bruno zaręcza przeciwnie,
Żem ja zwycięzca, ona zaś mą branką...
Bydź może... jednak wygląda coś dziwnie,
Miałażby ta piękność dumna,
Ta Filozofka głęboko-rozumna,
Stać się wietrznika potulną kochanką?
Toćby me przeszło nadzieje!...
Kobiéty mają osobliwsze gusta:
Głupia, częstokroć, za mędrcem szaleje,
Przemądrą czasem zwabi głowa pusta,
Gdy mówię pusta, rozumiem szalona,
W szlachetném znaczeniu słowa,
Głowa, jak moja, lekka ale zdrowa,
I podług zdania Brunona,
Obfitsza w myśli, niżli nie jednego
Autora zbioru poezij nowego."—
Tu Bruno ledwie nie parsknął, i usta
Przykrywszy ręką, szepnął:—pusta, pusta,—
A widząc, że w téj roztrzepanéj głowie
Znowu się myśli krzyżują bezładnie,

Że nic ważnego z nich już się nie dowie,
Przedsięwziął skończyć badanie w rozmowie.
Na powrót tedy ku drzwiom się przykradnie,
I, niby wchodząc, głośno się odzywa:
— Dzień dobry Panu! Aleśmy też spali,
Nie ma co mówić!—Bo też zwykle bywa,
Że szczęśliwi kochankowie
Śpią jak bobaki, czyli—mówiąc grzecznie,
Ktoż rycerzowi długo spać zaprzeczy,
Gdy ten na laurach spoczywa?
Dla niego Amor z Morfeuszem w zmowie.—
— Przysiądzbyś na to nie mógł zbyt bezpiecznie,
(Odrzekł mu Edmund), żem ja w samej rzeczy
Spał dziś na laurach—
— A gdybym chciał przysiądz—
—Przysiągłbyś krzywo, bo znalazłbyś ciernie.—
—Więc nie przysięgnę, lecz postawię tysiąc
Ważnych holendrów, że i dotąd wiernie
Gwiazda ci świeci miłośna,
Aleś zepsuty, w tém troski przyczyna:
Lub, może Hrabina
Więcéj niż trzeba, zazdrośna?—
—Co tam Hrabina!—Nie masz zgadywania daru.—
— Czy tak?— Więc na scenie
Aktorka nowa.—Jakiegoż rozmiaru?—
Mars, Ledóchowska, Pasta, Taglioni?—

Coż?.. czy nie powiesz?—
—Nie, nie powiém.—
—Nie?—
—Nie mówże sobie. Dowód to jest pewny
Czułéj miłości. Prędzéj talmudzista
Imie Jehowy z drżących ust uroni,
Niżeli kochanek rzewny
Wyzieje z łóna tajemnicze miano.
Ma to bydź roskosz odjemna, przeczysta:
Pojąć tę roskosz nie każdemu dano.
Ja zaś (jak ty mnie zwiesz) materjalista,
Tę mam zaletę, żem nie zbyt ciekawy.
Dumajże sobie o swoich zapałach,
Dymem Platona odurzaj swą głowę,
Ja, tym czasem zwolennik Epikura prawy,
Będę obracał w dym twoje cygaro,
I o niebieskich rozmyślał migdałach.
Ty jeszcze wszystko w barwę przystrajasz różowę,
A dla mnie wszystko już wygląda szaro.—

Edmund zadzwonił. Młokos wymuskany,
W rannym negliżu i woniami tchnący,
Wszedł bez pośpiechu. Ktoś nie obeznany
Z obyczajami wytwornego świata,
Wziąłby gładysza tego za magnata,
A to był tylko służący;

Wprawdzie szef garderoby, członek rady stanu,
Pół-przyjaciela — pół-sługi.
Podawszy szlafrok, wręczył potém Panu
Mały bilecik i rachunek długi.

Edmund przebiegłszy bilet rzutem oka,
— Znowu wymówki (poziewając rzecze),
Moję Hrabinę gniewa każda zwłoka.
Nie chcąc pamiętać na mądre przysłowie:
*Choć się przewlecze, jednak nie uciecze.*
Dąsa się, pisze jakieś banialuki,
Mnie psuje humor, sobie psuje zdrowie...
Czyj to rachunek?—
— Krawca Finaiguilla.—
— Diabelnie słony! Ale mistrz swéj sztuki.
Jaka winieta! Przemysł się wysila,
By nam ozłocić pigułkę zapłaty.
Zapłacże jemu... Tam, gdzieś, na kominku,
Znajdziesz zwinione w trąbkę assygnaty.
Mozolne życie. Nie ma odpoczynku...
Kwadrans po piérwszéj: czas iść do kąpieli,
A tu na karku żokej mojéj belli.
Wiesz co, Brunonie, odpisz do niéj za mnie:
Powiedz, żem słaby, że ręką nie władam,
Że dzień już trzeci nie chodzę, nie jadam,
Że... Że zatém nie wolno jéj gniewać się na mnie.

Jak skończysz, przyjdziesz do moich łazienek,
Tam ci się może z czegoś wyspowiadam....
*A propos*, ujrzysz jedną z tych wanienek,
W której się kąpią huryski Mahmuda,
Aparat nowy, wynalazku Bulla.
Taka w tej wannie dla zmysłów ułuda,
Tak się w niéj para przyjemnie otula,
Że zda się pływasz w atmosferze nieba,
Téj atmosfery sprobować ci trzeba
Jeszcze za życia, bo po śmierci... *Vale!*
Polechcą twoje członki nazbyt ciepłe fale.
Na teraz, ty atrament, ja lać będę wodę.—

Poszedł; a Bruno rzekł tonem pogardy:
—Głupich rzemiosło wiecznie wodę warzyć,
Nie pomnąc na to, że się mogą sparzyć.
Mniemaném swojém powodzeniem hardy
Młodzik ten wierzga, nie czując wędzidła,
Czekajno ptaszku, ostrzegę kokietkę,
Aby swe zręczniéj nastawiała sidła...
Coż to za nowe zapały?..
At, zoczył jaką nieszpetną gryzetkę,
I znalazł w niéj cnót żenskich górne ideały.
Los to wszystkich półgłówków. Wnet się dowiem o tém...
Byleby dla niéj nadto nie szafował złotem,

Niech ją sobie pokocha trzy, cztéry niedziele...
A jeśli bardzo ładna, to z nim się podzielę.—
To powiedziawszy, Bruno wziął się do pisania.

* * *

Teraz się dla was, moi przyjaciele,
Nowa widownia odsłania,
Stawcie sobie przed oczy waszéj wyobraźni,
Już nie miastowe gmachy,
Lecz ciche, wiejskie ustronie,
Gdzie przepych wzroku nie drażni,
Drewniane domki z słomianemi dachy.
Z ich okien widok na zielone błonie,
Na obrosłe drzewami jeziora zatoki,
I na góry szczyt wysoki
Posępnych świerków otoczony wiankiem.
Wpośrodku sioła drewniany Kościołek
Dźwiga pokornie sędziwy przyczołek,
Ze rdzawym krzyżem, nad spróchniałym gankiem,
Tuż za wsią strumień spieniony:
Po jego pędzie widać, że przed chwilą,
Młyńskie koliska poruszać zmuszony,
Ucieka od przemysłu niespokojnych ludzi
W daleką, dziką dolinę,

Gdzie czyste z gór poniki nurt jego zasilą,
Gdzie żaden męt kryształu jego nie zabrudzi.
Na tym strumieniu most swoim ciężarem
Gnie zbutwiałą podwalinę:
Większe powozy i fury z towarem,
Po garbatym grzbiecie drżącym,
Toczą się ostrożnie,
I zdarzało się, mówią, w Boga nie wierzącym,
Na tym się moście przeżegnać pobożnie.
W prawą za mostem, kręta, wązka ścieżka
Ginie w gaiku: ale dymu zwoje
Z zielonych stropów wznoszą się czasami,
Widać, że otulony gęstémi drzewami
Samotnik jakiś tam mieszka,
Że w ich gościnnym cieniu skrył swe niepokoje.

Małego sioła osada
Cicha, nie liczna, bo ledwie się składa
Z dziesiątka rodzin ubogich,
Do wyrobniczéj należących klassy,
Wielkiego trudu i zabiegów mnogich,
Ludziom tym trzeba, by wyżywić dziatki,
Ztąd nazbyt ciężkie znoje i niewczasy
Niszczą wnet sił ich ostatki.
Lecz w tym zakątku nędza nie tak sroga,
Nie tak ohydne ubóstwo,

Każda izdebka mniéj więcéj chędoga,
Dzieci pyzate, pogodny wzrok matek,
Bydełka, drobiu, dostatek.
Jakież to opatrzne bóstwo
Téj się wioseczki opiekuje losem?
Jaki to Anioł, przywabiony z nieba
Cierpiących głosem,
Nędzarzy wzruszon modłami,
Okrył ich swemi skrzydłami,
Dał im, czego dla ciała i dla duszy trzeba,
Owoce pracy i pociechy wiary?—
Anioł, któremu sioło winno takie dary,
Co nań sprowadził Opatrzności cuda—
Młoda dziewica. Jéj imie Giertruda,
A jéj mieszkanie, tam za mostem, w gaju.

Chcecie ją poznać. Oto postać biała,
Co się śród drzew, na ścieżce, w dali ukazała.
To ona. Idzie, podług swojego zwyczaju,
Nawiedzać mieszkańców sioła.

Ledwie most przeszła, już na jéj spotkanie
Gromadka dzieci wybiega wesoła:
Straż to przyboczna Królowéj osady.
Podbiła serca pod swe panowanie;
Nic się nie dzieje bez jéj woli, rady,

Mieszkańcy święcie szanują jéj prawa,
Władza jéj przeto nieograniczona,
Choć wdzięcznéj skroni nie zdobi korona
Choć cnót jéj skromnych nie rozgłasza sława;
Ktoby ją ujrzał, w chwilach próżnych życia,
W minutach duszy wytchnienia,
Kiedy na licach nie widać odbicia
Szlachetnych uczuć wzruszenia,
Znalazłby ją (jak mówią) panienką przystojną,
Nic więcéj; ten zaś tylko mógłby ją ocenić,
Ile natura była dla niéj hojną,
Mógłby powiedzieć, jak się twarz śmiertelna
Działaniem ducha w Boską zdolna zmienić,
Jak władza piękności dzielna,
Komu przypadkiem widzieć się udało
Giertrudę w chwilach moralnéj podniety,
W minutach pięknéj idei poczęcia.
Wtenczas w jéj rysach coś się rozlewało
Czarującego: niewinność dziecięcia
Z wyrazem czułéj kobiéty,
Serce jéj dotąd nie znało
Innych poruszeń, krom czystéj miłości
Boga, rodziców, krom żywéj litości
Na bliźnich cierpienia
I mocnego uczucia wdzięków przyrodzenia.

Otom ją wam ukazał w lubym jéj żywiole,
Jak promień słońca życiem skróś przenika,
Jak dészcz wiosenny weseli rolnika,
Tak snadnie ona, dobroczynną ręką,
Radość, nadzieję rozlewa po siole,
Tak szybko potém umyka
Przed obdarzonych podzięką.

Wejdźmy za nią w głąb gaju. Ta wąziutka ścieżka
Wiedzie do miejsca, gdzie ten Anioł mieszka,
Z dwóch stron brzozy z pniem białym, z zielonym wierzchołkiem,
Pod niémi rosochate czeremchy, kaliny,
A jeszcze niżéj, po brzegach drożyny,
Drżą przed stopą przechodnia konwalja z fiołkiem.
Żywe te ganki, kolumny, sklepienia,
Te z kwiatów wonne kobierce,
Są tu przybytku świętego przedsienia,
Który najczystsze zamieszkało serce.
Oto stoimy przed Giertrudy progiem:
Ten cichy w lesie futorek,
Ta nizka szopa ze stogiem,
Bzem i różami strojny ten podworek,
I ten skromny domek biały,
To jéj dostatek, to dla niéj świat cały.

Wnętrze mieszkania dobrze odpowiada
Zewnętrznej jego postaci,
Z kilku się czystych pokoików składa
Sprzęt nie wytworny, lecz nie razi wzroku;
Widać mieszkańcy dziś już nie bogaci,
Lecz kiedyś, mieli dostatki.

Giertruda weszła. W pogodném jéj oku
Dobrego czynu jaśnieje wesele,
Z uśmiéchem lube obejrzawszy kwiatki,
Zdjęła słomiany kapelusik z głowy,
Otarła czoło i świéże jagody,
A czasu nie tracąc wiele,
Biegła do drugiéj mieszkania połowy.
Tam za stolikiem siedział człek nie młody,
Dość jednak czerstwy. Ale w bladej twarzy
Smutek wybitne napiętnował cechy;
Wzrok, wprawdzie, czasem się żarzy,
Lecz jakby lampy grobowéj pobłyskiem.

Na widok lubéj swéj córki
Uczuł starzec na sercu kropelkę pociechy;
Czułym ją wita uściskiem.
—Dziewczyno (rzecze) nie ujdziesz mi burki:
Znowu biegałaś! Ty nie umiesz chodzić.
Jak pierś jéj dyszy.... a twarz jak gorąca!...

Ten ruch gwałtowny może ci zaszkodzić.
Nie zważasz nawet, że promienie słońca
W téj porze roku dla płci waszéj zdradne,
Że ogorzałe lica nie zawsze są ładne.—

—A tyś zapomniał, ojcze mój kochany,
Na kapelusik słomiany,
Który przed słońcem twarz moję zakrywa.
Ruch mi nie szkodzi, a śniada, czy biała,
Zawsze cię będę kochała,
I zawsze będę szczęśliwa,
Byleś mnie kochał.—
—Kogoż kochałbym na świecie?
Wszystkie me z ludźmi zerwały się związki,
Ty jedna, lube me dziecię,
Jesteś nicią, co byt mój przytwierdza do ziemi.
Gdyby nie ojca święte obowiązki,
Gdyby nie miłość ku tobie,
Dawnobym moję niewolę
Skończył na łez tym padole,
Dawno o wrogach zapomniałbym w grobie;
Tam to méj ku nim nienawiści meta.
Tyś z ludzi rodu, co więcéj, kobieta!
Ja kocham ciebie!
Sądź teraz o méj miłości.—

—Najdroższy ojcze! nazbyt dręczysz siebie
Myślą o srogiéj przeszłości.
O gdybym mogła z kwietnika twéj duszy
Wyrwać chwast zgubny, te głogi pamiątek!—
Zrazu myślałam: ten cichy zakątek
Da ci zapomnieć o dawnéj katuszy;
Biédnego sioła mieszkańcy,
Jak my na ziemi wygnańcy
Wzbudzą w tobie spółczucie szczérą swą prostotą;
Ty ich pokochasz przez wzgląd na ich nędzę.—
—Jam także nędzny, a sobą się brzydzę,
Nędzarz, czy bogacz, ja nie pytam o to,
Krom ciebie, cały ludzki rodzaj nienawidzę
Nikogo, nigdy, w zemście nie oszczędzę.—
—Nikogo!—
—Dla mnie każdy człek zdrajca, oszczerca.
Ale się zbyt uniosłem. Jeden człowiek jeszcze
Może mieć przystęp do mojego serca;
Jednego tylko może w niém pomieszczę,
Chybaby jadowitszym od innych był wężem.—
—Kogoż to?—
—Tego, co będzie twym mężem.
Do łona mego tulisz twarz spłonioną....
Giertrudo, po tém wyznaniu,
Mogłażbyś wątpić o mém przywiązaniu?...
Nie kryj mi serca pod wstydu zasłoną.—

—Przed tobą, ojcze, nigdym się nie kryła.—
(To mówiąc słodką łzę otrzęsła z powiek,
Którą nieznana rzewność do ocz jéj zwabiła).
—Jam o nieufność ciebie nie posądził,
A przeto pytam, czy ten młody człowiek,
Który tu do nas zabłądził,
I odtąd zaczął nas odwiedzać skrycie,
Czyli ten człowiek ma jakie zamiary?...
Wiem, że dobrego rodu, bogaty, że zatém
W dostatkach pędzić z nim mogłabyś życie.
Lecz to są błahe przeznaczenia dary:
Nie dość bydź młodym, przystojnym, magnatem,
By swą małżonkę uczynić szczęśliwą.
Co o nim sądzisz?—
—To, com w nim widziała,
Każe mi wnosić, że ma duszę tkliwą,
Charakter słodki.... lecz by dobrze sądzić,
Trzeba, bym lepiéj Edmunda poznała.
—O swéj miłości nie mówił?—
—Ni słowa.—
—To mię zadziwia. Człek wielkiego świata!—
—On mógł bez celu, ojcze, tu zabłądzić.—

—Raz piérwszy, zgoda. Taka młoda głowa
Bez celu najczęściéj lata.
Ale, że wrócił, że tu codzień bywa,

To już cel jakiś dowodzi;
To właśnie we mnie podejrzenie rodzi.
Co większa, człek ten wcale nie ukrywa,
Że ty się jemu podobasz, że z tobą,
Słodko mu płyną godziny,
Przejeżdża jakby kradkiem, i wieczorną dobą.
Takie tajemne, częste nawiedziny,
Nie są bez celu.—Człowiek nieuczciwy
O swych zapałach byłby ci naprawił,
Trzpiotby cię próżném paplotaniem bawił,
On tak nie czyni, a przecie z rozmowy
Wniosłaś, że grzeczny i tkliwy...
Nie jest to zatém rycerz romansowy...
Myślę raczéj, że pragnie poznać ciebie zblizka,
Zrozumieć czy mu radzi, czy wzajemność zyska.
Ta myśl, chęć oraz szczéra, przez dobre zamęście,
Zapewnić twoję przyszłość, twe dozgonne szczęście,
Sprawiły, że (co czynić nie zwykłem nikomu),
Dozwoliłem mu wstępu do mojego domu:
Czujne jednak mieć będę oko nad młodzieńcem,
Aż gdy Bóg da, zostanie twoim oblubieńcem.
Tym czasem ty miéj swoje serduszko pod strażą.
Serce, Giertrudo, to sprzęt nie wygodny:
Żar namiętności, powiew świata chłodny,

Tę czułą tkankę zarówno obraża.
Strzeż więc, by się do twego nie wkradł lód ni płomień.
Niech będzie ciepłe, świeże jak ranek pogodny.
A gdy z tém niebem w duszy staniesz u Ołtarza,
Wtenczas dla mnie nad grobem błyśnie szczęścia promień.—
Na tém się ojca z córką skończyła rozmowa.

Czyliż się czasem nie zdarza,
Że w prostéj myśli wyrzeczone słowa,
Wpadając w serce niewinnéj dziewczyny,
Trącą niechcące tajne w niém sprężyny,
I nagle przed nią odkrywa się nowa
Kraina uczuć?—Tak się tutaj stało.
Dotąd anielska dziewica,
Patrzała na Edmunda jak siostra na brata;
Dziś w nim zgadując kochanka,
Nie spojrzy nań, a przecie ogniem płoną lica,
W sercu się roskosz z boleścią przeplata.
Była wczoraj królową, dziś—ledwie nie branka,
Już nie ta w lekkim jéj biegu swoboda,
Nie ta w oczętach pogoda,
I nie ten uśmiech na ustach niewinny.
Piękność jéj teraz blask ma wcale inny:
Taż sama rysów harmonja, czystość,

Lecz w ich wyrazie pewna uroczystość,
Na czole jaśnieje promień,
Lecz to dumania odblysk, nie wesela.

Wnet postrzegł Edmund te iskry pożaru,
Rada Brunona stawa mu w pamięci:
»*Dmuchaj w iskrę, będzie płomień.*«
Zmiana w Giertrudzie bardziéj go ośmiela;
Już on swojego zamiaru,
Dla tych co dawniéj, względow nie poświęci.
Czcią go i trwogą dawniéj przejmowała
Niewinna jéj poufałość;
Dziś, bojaźń już w dziewicy, a w młodzieńcu śmiałość;
Ufna, bezpieczną była, dziś w obawie zdrady
Sama się prawie w ręce mu oddała.—
Na wspak poszły ojcowskie, choć gorliwe rady.—

* * * *

Wrócić nam trzeba do miasta
I wejść z kolei do przybytków mody.—
W tych przystrojonych gustownie komnatach
Króluje także niewiasta,
Niepospolitéj urody.
Znać damę świata wielkiego po szatach,

A literatkę po książkach bez liku,
Porozrzucanych w przyjemnym nieładzie
Na krzesłach, oknach, na każdym stoliku
I na kobiercu pódłogi;
Tam u jéj stopek z pokorą się kładzie
Nie jeden autor niebogi.
W takiéj my, bracia, często poniewierce:
Leż pod nogami, kto nie trafił w serce.
Nie jest to niedola, czasem,
Kiedy serduszko szkaradne,
A nóżki ładne,
(Lecz to się mówi cichutko, nawiasem,
Dobrym znajomym, i nie w każdéj porze).

Tą razą piękna Hrabina,
Nie w literackim, jak widać, humorze,
Słaba, czy smutna, na sofie leżąca.
Duszno jéj — związkę stanika odpina;
Pieszczoty pieska lubego odtrąca,
I niecierpliwie na zegar pogląda,
Wyraźnie na kogoś czeka,
Lub czegoś gwałtownie żąda.

Nakoniec mówi do siebie z westchnieniem:
— Jego nie widać. Już on znowu zwleka—

Znowu wymówką zasłoni się marną—
A ja go czekam z takiém upragnieniem!
Tak młody jeszcze, a duszę ma czarną—
Przysięgał, że mnie kocha, szalejąc za inną!—
Ktoż ta Esmeralda nowa?—
Rumiana parafijanka—
Komornikówna jaka, czy Sędzianka,
Z tą gracją pseudo-niewinną,
Co raki piecze, w dłoniach pucki chowa,
A przez palce ukradkiem patrzy na kochanka.—

A jeśli nie jest taką?—Jeśli zgrabna,
Żywa, dowcipna, powabna?—
Alboż w wieśniaczkach nie bywają wdzięki?
Natura ślepo swe rozrzuca dary—
Ta niepewność przed gońcem sroższéj może męki!
Przeczuwam piołun na dnie mojéj czary,
I sny me, bodaj, sprawdzą się złowieszcze.—.

A ten nieznośny Bruno, dotąd jeszcze
Nic mi pewnego o niéj donieść nie mogł!—

Ha, ten Bruno! ten zwodziciel!
Długom się opierała, lecz nareszcie przemógł;
Opasał mię swémi sploty,
Jak głodny Boa dusiciel,

Wyssał z méj duszy jéj treść—miłość cnoty,
A na zawsze zostawił w niéj swój jad — zgryzoty!—

Męża mojego kochać było trudno:
Starszy ode mnie trzydziestu coś laty,
I bankier. Ale hojny a bogaty,
Żyć przeto mogłam przyjemnie,
Czemuż mi było tak tęskno i nudno?
Bo chciałam bydź kochaną i kochać wzajemnie.
Bydź jaką nową—Lilją doliny (*).
Uciech szukałam serca, tych kwiatów uczucia;
Sięgłam po nie—i żądło znalazłam gadziny!—

Jeszcze dziś sobie zdać nie umiem sprawy,
Jakem aż na ten szczebel spaść mogła zepsucia?
Jak się mogłam dobréj sławy,
Wszystkich się moich wyrzec powinności,
O śmierć przyprawić męża, o zgubę majątek,
A to dla człeka takiego miłości?—
Jakiż owoc téj zbrodni? Wyschłe źródło duszy,
Cierniowy wianek sromotnych pamiątek,
I nienawiść ku sprawcy mych srogich katuszy.

(*) *Le lys de la vallée.* Romans Balzaka.

Chciałam na łono dawnéj wrócić wiary,
Niosłam przed Ołtarz modły i ofiary,
Bóg ich nie przyjął: cóż Mu hołd pozorny,
Serce bez skruchy, rozum nie pokorny?
Przywykłam wątpić, a tu wierzyć trzeba;
Rzekłam więc: próżno się silić,
A gdy nie można duszy wznieść do nieba,
Sprobujmy niebo do ziemi przychylić.
Mniemałam, ziemskie to szczęście
Znaleść z człowiekiem mojego wyboru,
W powtórne wchodząc zamęście.
Edmund mię podbił. Prześlicznéj urody,
Płochy, lecz jeszcze nie zepchnięty z toru
Właściwéj ludziom szlachetnym prawości,
Zdolnym go szczeréj sądziłam miłości.
Jemum się sercem i duszą oddała,
I on mnie kochać zdawał się bez granic,
A teraz — dla innéj pała!—
Na cóż przysięgi?—Ach, najczęściéj—na nic!—

Bądź co bądź, los jest rzucony:
To ma ostatnia kotwica ratunku,
Edmund mi, obok tytułu swéj żony,
Udzieli prawa wspolnego szafunku
Ogromnéj swojéj intraty.—
Szczęście prawdziwie, że on tak bogaty.

Bo niecny Bruno warował, bezczelnie,
Pół miliona zapłaty,
Za swoję pomoc — Szkarada!
Mówi, że we mnie kocha się śmiertelnie,
A za pieniądze oddał mię drugiemu!
To jest obelga! to zdrada
Której na wieki nie odpuszczę jemu! —
On może nawet posuwa zuchwałość
Liczyć na nową z méj strony niestałość!!! —
Zawiedziesz się niecnoto! — Twoja władza znikła
Jeszczem ja nie tak do zbrodni nawykła
Jakbyś ty żądał. Kusisz się daremnie:
Wierną małżonkę Edmund znajdzie we mnie.
Nowy ten związek będzie odrodzeniem
Skażonéj przez ciebie cnoty,
Próżno się kusisz nowych zdrad brzemieniem
Podwoić moje zgryzoty — —
Lękać się ciebie, nie widzę przyczyny;
Wydasz mój sekret, ja twój wydam także;
Zdradziłam męża, uciekłam, — jednakże
Większe twe, Bruno, przeciw niemu winy —
Ktoś idzie.... Edmund!... nie, to chód Brunona. —
Hrabina związkę znów spięła u łona
A Bruno prędszym jak zwykle wszedł krokiem,
Twarz jego blada i wzrok obłąkany;
Z czoła, ze skroni, pot spływa potokiem;

Chciał coś powiedzieć, ale zadyszany
Nie mógł, niemym tylko giestem
Okazał znaki rozpaczy,
Ona krzyknęła: — Boże! co to znaczy? —
On, konwulsyjnie wybełkotał: — Jestem —
Raczéj — Jesteśmy oboje — zgubieni! —

Na te słowa twarz Hrabiny
Różnemi barwy na przemian się mieni.
W fałdach jéj czoła, w oku osłupiałém
I w żyłach skroni, które krew napręża,
Sztylet sumienia nakreślił jéj winy.

A Bruno daléj bełkoce: — Widziałem —
Na własne oczy —
— Kogoż? —
— Twego męża!
Nieszczęsna krzyknęła;
Z poduszek stosu głowa się zsunęła —
Smiertelna bladość okryła jagody —
A pierś, co się wzdymała, nagle bez oddechu.

Bruno, rzucił przekleństwo, porwał szklankę wody
I w twarz jéj lunął. W tym jego pośpiechu
Nie widać czułéj obawy miłości,
Lecz wybuch egoizmu i niecierpliwości.

— Nie czas omdlewać (krzyknie jéj do ucha)
Trzeba nam radzić, znaleść jaki środek!
Leży jak martwa — nie słucha!
Że to niewiastom żadnéj złéj nowiny
Donieść nie można bez pewnych ogródek. —
Tak się dąsając tarł eterem skronie.
Ruch mały przemknął po członkach Hrabiny,
Życie powraca, dłoń za serce chwyta,
A duże, czarne oko we łzach tonie.
Oko to wymowne, pyta
Swojego kata: jaką jeszcze męką
Zamyśla targać rozdrażnione nerwy?
Bruno się boi znów podobnéj przerwy,
Milczy więc, dając znak ręką,
By odetchnęła i przyszła do siebie.
Hrabina jednak słabym jękła głosem:
— Mąż mój umarł — powiadano. —
— Tak (odparł Bruno) ale, na jego pogrzebie
Nikt nie był. Zwiedliśmy się czczéj wieści odgłosem.
Nie umarł, ja go widziałem dziś rano.

Zbierz Pani siły; słuchaj cierpliwie,
Bo te spazmy, łzy, rozpacze,
Nie wywiodą nas z kłopotów.

Właśnie mój Jakób odkrył szczęśliwie
Przedmiot Edmunda niecnych zalotów—
Rad, że tę dziewkę zobaczę,
Ruszam ku miejscu, nie tracąc czasu:
Szedłem górami, godzin coś kilka,
Trafiam na sioło, wchodzę do lasu
Spostrzegam wreszcie dworek chędogi:
Stanąłem, myślę: — trzeba zejść z drogi,
Podpatrzyć z krzaków, mieszkańców.
Czaję się — czekam — ubiega chwilka,
Wychodzi z domu tłum oszarpańców
Za niémi młoda dziewczyna.—

—Czy piękna?—zgrabna?—jakie oczy?—włosy?—
(Że drżeniem pyta Hrabina)

—Nie w moim guście. Pulchne lubię wdzięki;
Ta zaś z kibici podobna do osy,
A twarz pociągła i blada.—

(Hrabina westchnie— Bruno daléj opowiada)

—Kiedy nakoniec charłaki
Odeszli, korne oddawszy jéj dzięki,
Wiejska kokietka idzie pod te krzaki,
Gdzie jam się czaił, i na ławce siada:
Otwiéra książkę, dla dzieci pisaną

*Krasińskiéj Dziennik* (*). Ten szczegół dowodzi,
Że jest, at sobie, ledwie okrzesaną,
I po francuzku nie umié zapewne.
Czyta więc gąska i żale rozwodzi,
Wzdycha i leje łzy rzewne;
Lecz, śród czytania, coraz się ogląda
Czyjegoś przyjścia oczekuje, żąda.
Nagle zadrżała — Ktoś lasem pomyka
I prosto ku ławce zmierza
Wnet ja poznaję mego rospustnika
Edmunda, twego rycerza. —

(Hrabinie trochę słabo; rzeźwi się eterem).

— Już on przy niéj, już się splotły
Ich ręce, z uczuciem szczerem
Głupiéj, dziecinnéj radości. — —

Hrabina jękła, jakby ją przygniotły
Centnary nieszczęść: bliziutka już mdłości:
A Bruno, jakby czuł dziką przyjemność
Topić mordercze sztylety
W sercu zazdrośnéj kobiety
Maluje przed nią dwojga kochanków wzajemność.

(*) Wszystkim znajomy zajmujący *Dziennik Franciszki Krasińskiéj*, w Rozrywkach dla dzieci przez K. z T. H.

— Kiedy więc (mówi) oni, w miłośnéj rozmowie;
Wszystkie już wyczerpali przesadnie, przenośnie,
Edmund (tegom się nawet po téj pustéj głowie
Spodziéwać nie mógł) wykrzyknął radośnie:
*Tyś moja! moja na wieki!* —
*Polegaj na mém honorowém słowie,*
*Kres mych najsłodszych życzeń nie daleki,*
*Weź ten pierścionek w zakład mojéj wiary.* —
Ona się wzbrania, on jéj gwałtem prawie
Oblega palec obrączką —

A wtém z podwórka wyszedł wieśniak stary;

Panna się zlękła, w bok rzuciła rączką
A pierścień z palca i — zatonął w trawie.
Ja plackiem na twarz, pełznę i ostrożnie,
Chwytam go (myśląc: to się przyda w porze)
Cofam się znowu do kryjówki trwożnie —
Aż tu głos, dobrze mi znany,
Do uszu wpada. Ach ten dźwięk straszliwy
Wszystkie me nerwy, (myślałem, rozporze)!
Niespokojny, pomięszany,
Na starca wzrok mój podnoszę — O dziwy! —
Szatańskie widmo! — to on — twój małżonek,
A mój pryncypał! — Ledwiem co nie krzyknął;
Ledwie mi z ręki nie wypadł pierścionek;

Na szczęściem jednak, nie stracił pamięci,
A kiedy oni zbyt sobą zajęci,
Cichom, przez gąszcze, aż na pole myknął.—
Oto jest wszystko.— Radzić teraz trzeba.—

—Coż ja poradzę?— O Wszechmocne Nieba!—
Edmund zaręczył inną — jam nie wolna!—

— Właśnież dla tego powinniśmy radzić.—

—Czyń co chcesz — Ja upadam — jam myśléć nic
zdolna.

—Spuść się więc na mnie: możesz bydź bezpieczną
Ze wszystkich względów nie mógłbym cię zdra-
dzić.—

—Ja zaś zbyt cierpię abym była sprzeczną.—

Bruno myślił, tarł czoło, muskał włos rudawy,
I rzekł:— Edmunda powierz mi bilety.—
—Na coż to?—
—Nie czas żądać zdania sprawy.
Mnie potrzebne te listy.—
—Oto są— niestety!—
—Wybornie, wszystkie bez daty!—
Teraz Edmunda trzeba ztąd oddalić,
Bez najmniejszéj czasu straty.

Obecność jego mogłaby obalić
Pierwsze przyciesie sztucznéj méj budowy.—

—Jakże to zrobić?—
—Mam planik gotowy:
Wszak Edmunda urodziny
Przypadają za dni osiém:
Z pomocą ciotki jego, Starościny,
W jéj wsi dla niego wyprawimy fetę.
Dużo gości łatwo sprosim:
Nasz Midas, ma tę przedziwną zaletę,
Że byle mógł tańcować, grać w karty i hulać,
Da się jakby niemowlę spowić i ululać,
Tę część roboty weź Pani na siebie,
Na wsi, on ciągle będzie przy twym boku:
Co dzień spacery w parku—dobranoc—dobrydzień—
Pod takim stosem kwiatów pamięć swą zagrzebie,
A gdy tak pożyje z tydzień,
Gwiazda jego z za lasu skryje się w obłoku;
Gdyby się zaś uparła błyszczeć jego oku,
Potrafię ją z Wenery zmienić w Aryanę.
Skończono. Pani jedziesz—ja się tu zostanę.—

—Ale na cóż się to przyda.—
Kiedy Edmunda żoną bydź nie mogę?

— Już to moja będzie biéda.
Ja do małżeństwa uprzątnę ci drogę.—

—Przebóg! czy chciałbyś zabić mego męża?
Byłbyś potworą!—Dość— dość przeszłéj zdrady.

—Pani swą wyobraźnię zbytecznie natęża;
Kto mówi o zabiciu?— Jakby bez zabicia,
Nie można sobie dadź rady.—

—Jaka tu rada? Ja, za jego życia,
Nie mogę przecie ślubować innemu.
—Chwalebny skrupuł; lecz można i temu;
Jeszcze zaradzić— rozwodem....—

(A twarz zwracając mruknął cicho): —*grobem.*—
Hrabina wstaje— niespokojnym chodem
Mierzy gabinet— duma— znowu siada—
Opuszcza głowę i rzecze:— Zła rada,
Jakimże bowiem sposobem
Zmusić go do rozwodu!— zapomniałeś o tém,
On się nie zgodzi. Czémże go zniewolisz?—
—Złotem.—
(I znów na stronie szepnął):— *lub ołowiem.*—
— Róbże już co chcesz. Nic więcéj nie powiem,
Chyba to, że na zbrodnię żadną się nie zgodzę.—

—Bądź spokojna. Zbawieniu twemu nie zaszkodzę,
Bierzmy się do roboty. Bądź zdrowa— odchodzę.—
Poszedł, mrucząc ze złością:—Obłudne stworzenie!
Ochoczobyś mię posłała
Na szubienicę i na potępienie,
Byle siebie ocalić, i z nowym kochankiem
Nurzać się w zbytkach i roskoszach ciała.
Ale się mylisz. Bruno nie tak głupi,
On życia nie narazi, a roskosze— kupi.

Rzuciłbym ciebie, pogrążyłbym w nędzy,
Edmund w mych ręku, bez twéj więc pomocy,
Miałbym u niego, ile chcę pieniędzy;
Lecz na nieszczęście, nie jest w mojéj mocy,
Oprzeć się twojéj uroczéj piękności.
Wdzięków mię swoich krępujesz łańcuchem,
Ciałem swém, pełném lubości,
Panujesz nad mém nie ugiętym duchem.
Będziesz więc moją— do czasu w połowie—
A późniéj cała.— Twój lubosz rospustny
Słabe z natury ma zdrowie,
A lubi hulać. Będziesz hulał, drogi!
Co dzień będziesz, z méj łaski, miał Wtorek zapustny;
Lecz prędzéj, niż chcesz, staniesz u kresu twéj drogi.
Moją zaś pseudo-Hrabinę,
Wnet oplątam jak pająk muchę w pajęczynę;

Gdzieby się chciała rzucić, znajdzie wszędzie
tamę.—
W tych myślach wszedł on w swojéj kamienicy
bramę.—

* * *

W dni kilka po téj scenie, Edmund zaprosiny
Otrzymał od swéj ciotki. Wahał się przez chwilę;
Lecz nie chcąc poróżnienia, snać, z poważną krewną,
Znając też dom Starościny,
Pojechał, z nadzieją pewną,
Że na tańcach i uczcie *dzień* przepędzi mile.
Pomylił się w swym rachunku,
Ale tylko, co do czasu.
Ach, któż się z nas nie mylał w dni swoich szafunku?

Niechajże jedzie. Ja, z powieścią naszą,
Do brzozowego przenoszę się lasu.

Słońce już zaszło. Wyższych drzew wierzchołki,
Zorzy wieczornéj odblaskiem się kraszą,
Spieszą brzęcząc do ulów opoźnione pszczołki;
W napowietrznych ukryte fantastycznych gankach,
Chory skrzydlatych śpiewków nucą już w prze-
stankach,

A gdy mrok dzienną wrzawę przytłumia stopniami,
Nowe akorda głosów przerywają cisze:
Tu zda się, jakby szepcą z gałązką gałązka,
Strumień głośniej ze swemi gwarzy kamykami
Nad nim jęcząc na wierzbie puszczyk się kołysze,
A gdzie dolinka, zamglila się grzązka,
Kwaka cyrauka, gdacze wodna kurka,
Cietrzew im wtórzy tokując z pagórka.
Są to bogini nocy wiosenne kapele,
Na tych zaś wszystkich muzykantów czele
Słowik, harmonji mistrz nie dorównany,
Smiałe arpegia, rulady i trele,
Rzuca w chór ich na przemiany,
Tak gdy Lipiński wziął skrzypce do ręki,
I swym cudownym smykiem drasnął stróny,
Nad złączonemi stu Muzyków brzęki,
Panują wdzięcznie boskie jego tony.

Ach, trzebaż, by tą pora cichości, dumania,
Która każdą czującą istotę zachwyca,
Zmysły harmonją i wonią nasyca,
A w sercu nieci potrzebę kochania,
Trzebaż by, mówię, noc wdzięczna wiosenna
Była razem miłością i zbrodnią brzemienna,
By się z pieniami radości, roskoszy
Żeniły chrzęsty zbójców, sykania gadziny?—

Nie dziw, iż z oczu szczęsnéj młodéj pary,
Skrzydłem swém miłość sen płoszy;
Lecz straszno myśléć, że tejże godziny,
Trapi bezsenność drapieżne zwierzęta
I drapieżniejsze z ludzkiém obliczem, poczwary,
Tak chce Bóg: niech się dzieje wola Jego święta.

Giertruda nie śpi i Lubomir czuwa,
Temu nienawiść ludzi, téj miłość sen wzięła,
Taż sama myśl, co ojcu dni życia zatruwa
Córkę roskoszą natchnęła.
Czemuż? — bo on wstecz idzie po uczucia drodze,
Ona zaś w przyszłość ulata;
Zwiedziony starzec w swych marzeniach srodze
Nie ufa związkom, które miłość splata,
Niewinne dziéwcze, kochając raz piérwszy,
Wierzy, że jéj przyjaciel jest z ludzi najszczerszy.

W takich dumaniach usiedli oboje,
Na swéj ławeczce pod kwiecistym krzewem;
Giertruda wonnéj gałązki powiewem,
Odgania muszek uprzykrzonych roje,
Słuchając ojca przestrog, a tym czasem,
Myśl jéj, wraz z sercem, daleko za lasem.

Wtém, huk wystrzału rozległ się po gaju,
Strzelono blizko i w kierunku sioła.

Lubomir powstał, spojrzawszy do koła,
— Czyby kto kaczki strzelał na ruczaju?
(Rzeeze do córki). Lecz kto toby taki
Śmiał mi pod bokiem płoszyć moje ptaki?
Żadnego strzelca nie znam w tej wioszczynie.—

Giertrudą także powstała — i słucha —
Wkrótce krzyk, zdała, doszedł jéj do ucha,
Prosto od mostu, kędy strumień płynie.

— Kochany ojcze!— zawoła ze trwogą —
Tam się coś stało — ja słyszałam krzyki!
Ta okolica pusta, tu zbójcy bydź mogą.—
— Tak się tobie zdawało, (starzec jéj odpowie),
Gdzieś tam kwiliły puszczyki.
Więc bądź spokojną. Twój przestrach był pró-
żny.—
— Może to jaki, mój ojcze, podróżny
Jest napadnięty.—
— Coż ci się znów marzy?
Byłaś mi zawsze mężna, a dziś trwożna.—
Giertruda znowu słucha, i z wyrazu twarzy
Rosnącą niespokojność w niéj uważać można.
Po chwili szepnie: — Słyszę jakieś gwary....
Hałas się wzmaga.—
— Wszakże dziś Niedziela,
Wieśniacy podchmieleni, może zwodzą swary.—

Ale napróżno starzec dziewicę ośmiela,
Ona drży cała, widać, że jéj życie
Droższém się stało od pewnego czasu.
Wtém szmer głośniejszy zwiastuje przybycie
Gości, niespodzianych wcale;
Idą tłumnie, i wnet z lasu
Wpadają na podwórek, ktoż?— czy lesne draby?
Nie— to Giertrudy wassale;
Chłopcy, dziewczęta, i dziady, i baby,
Stanęli: a gdy rozstąpi się kupa,
Lubomir ujrzał, na noszach z gałęzi,
Człeka bladego jak trupa.
Pierś miał skrwawioną i złamaną nogę,
W stopie, u górnéj więzi.
Wszelką już wtenczas odegnawszy trwogę,
Skoczy litośna dziewica
Ratować, jeśli można, nieszczęsnego człeka.
Żywy rumieniec krasi blade wprzódy lica,
O nic nie pyta, chwili nie zwleka,
Zapał ludzkości siły w niéj podwaja.
Wnet za pomocą sielskiego felczera,
Krew płynącą tamuje, kość złamaną spaja,
W rany mu leje bąlsam, a pociechę w serce.

Tym czasem Lubomir zbiera
Starszych z gromady i pyta skwapliwie,

—Jak się to nieszczęście stało?—
Kto jest ten człowiek?— gdzie jego morderce?
Długo nie mógł dójść ładu, albowiem wrzaskliwie
Jeden drugiemu przerywa, lub przeczy;
Szło już o mało,
Że się nie wzięli do czubów;
Nakoniec przecie, po długiém bredzeniu
Smalonych dubów,
Jeden ze starców treść istotną rzeczy
W kilku tych objaśnił słowach:
— Człowiek lat średnich i w prostém odzieniu
Nie wiedzieć zkąd się tu zjawił;
Był, (jak wyznaje), dzień cały na łowach,
A że się długo zabawił,
Spieszył na powrót przez nasz most spróchniały,
Wbiegł już na środek, gdy mu pod nogami
Dwie mostowiny nagle się strzaskały;
Zleciał więc, w ręku trzymając strzelbinę,
I uwiązł między dolnemi belkami.
Waląc się, widać, potrącił sprężynę,
Bo mu rusznica w piersi wystrzeliła,
Zanim upadła do wody.—

Lubomir (wcale nie rad z téj przygody,
Co mu porządek w domu zakłóciła),
Kazał włościanom odejść. Dworek znowu w ciszy,
5*

Jedna Giertruda nie zamyka powiek:
Jakżeby spała, gdy przed jéj oczyma;
Jęczy boleśnie i z trudnością dyszy,
Na łożu śmiertelném człowiek?
Dla nieszczęsnego już ratunku nié ma;
Ale jest łza litości, słodka rosa nieba,
Która konającego oschłą rzeźwi duszę,
Odgania rozpacz, wzbudza rzewną skruchę,
Wskazuje, jak się Boskiéj woli poddać trzeba,
Jak cierpliwie za grzechy ponosić katuszę,
I z śmierci czerpać życia trwałego otuchę.

Ach! gdyby każdy zbrodzień, w ostatniéj godzinie,
Miał przy boku anioła, coby mu łzę spiekłą
Przemienił w łezkę skruchy, która z serca płynie,
Łzy te zgasiłyby piekło.

Kto Bogu wierny, w łasce Jego chodzi,
Temu jest dano téj łaski udzielać.
Jak dano słońcu ziemię rozweselać,
Tak jemu dano z grzechowéj powodzi
Wydzwigać dusze na zbawienia brzegi.

Doznał tego nieszczęsny. Giertrudy zabiegi
O zdrowie jego pono bezskuteczne;
Zgaśnie może w nim iskra doczesnego życia,
Lecz się roznieci wnet na życie wieczne:

Przed chwilą jeszcze był tego niepewny,
Brodząc ślepo w nieprawości,
A teraz, jakby wyrwany z powicia,
Duch jego przepaść pod nogami mierzy,
Łaska w nim działa. Płacz cichy, lecz rzewny,
Znakiem jest żalu z miłości.
Zbawion on będzie, bo kocha i wierny.
Młoda dziewica z Bogiem go pogodzi,
Wydrze go piekłu, wzniesie w kraj wesela,
Bo kto w łasce Bożéj chodzi,
Drugim téj łaski udziela.

Już to nie piérwsze dla niéj widowisko
Ostatniéj w człeku walki ducha z ciałem;
Gdy w jedno wielkie sumienia ognisko
Wszystkie rozpierzchłe promienie przeszłości
Zbiegną się, w chwili, nawałem.
Nieraz, u łoża boleści, Giertruda
Świadkiem wyroków była niedościgłych;
Przedwiecznéj sprawiedliwości,
Lub Boskiego wielbiła miłosierdzia cuda;
Nie dziw więc, że przywykła na ustach ostygłych
Śledzić wyrazy, we wzroku, przy skonie,
Czytać chęć skrytą, jak szperacz uczony,
Na obalonym frontonie
Niemego hieroglifa tajną myśl tłumaczy.

5**

Kiedy więc nędzarz jęczał rozciągniony,
Dziewica wniosła, z kilku słów rozpaczy,
Że jakaś wina szarpie mu głąb' serca.
Wnet dlań z czułością otwiera skarbnice
Duchownych pociech. Stawi mu przykłady,
Jak wszelki grzesznik, choćby przeniewierca
Najświętszych ustaw, choćby mężobójca,
Rosząc łzą żalu gasnące źrzenice,
Zdoła zmyć duszy szkarady.
Wtém, nagle, człek ten krzyknął przeraźliwie:
— Ja chciałem twego zamordować ojca! —

To niespodziane, okropne wyznanie,
Duszę Giertrudy wstrząsnęło straszliwie,
Nie pomnéj na to, że człek konający
Drugiego zabić nie w stanie.
Usłyszał starzec głos jéj przerywany
Żałośnym jękiem, i wnet pobiegł drżący,
W trwodze o przedmiot jedynie kochany:
Bo ten człek zimny, surowy, ponury,
Wszystkie w swém sercu głosy stłumić zdołał,
Prócz tylko głosu natury.

— Giertrudo! (rzecze) nędzarzowi temu
Życia nie wrócisz: po cóż skracać swoje? —
To mówiąc wiodł ją ku drzwiom; lecz chory zawołał:
— Łaskawy Panie! dopuść nieszczęsnemu

Szczerém wyznaniem zmniejszyć niepokoje
Skołatanego zbrodniami sumienia.
Ten anioł, w kształcie kobiéty,
Zdjął z oczu moich zasłonę,
W duszy się mojéj dziwnie rozpromienia
Niebieskie światło. Widzę się u mety
Dni mych na ziemi: po raz piérwszy płonę
Ogniem nieznanéj miłości,
A wszystkie życia mego nieprawości
Cisną się w jeden snopek bolesnych pamiątek.
Szczerego żalu siła nie przeparta
Do ust je pędzi. Tą jedynie drogą,
Na wieki ze mną rozłączyć się mogą....
Chciałem cię zabić!... Odpuść mi tę winę:
By w xięgach Boskich życia mego karta
Do swéj piérwotnéj wróciła czystości,
Jako przez tego Anioła przyczynę,
Bóg mi, ufam, odpuści wszystkie inne złości.—
Lubomir, silnie wzruszony,
Podał słabemu rękę, na znak przebaczenia:
Ten ją ujął i podniósł wzrok wypogodzony,
Jakby mu życia zdrój przelał się w żyły,
Jakby ciężkiego pozbył się brzemienia.
— Dzięki ci (rzecze), zstąpię do mogiły
Z większą nadzieją zbawienia,
Wy się zaś strzeżcie. Człek, bez czci i wiary,

Szatan, co ze mnie uczynił niecnotę,
Czarne ma przeciw obojgu zamiary:
Dla ojca śmierć gotuje, a córce sromotę.—
Uchodźcie póki zdrad swych niedokonał!—
—Ktoż on jest (pyta starzec) gdzie jest?— Jak się zowie?—
Lecz się już pono nic więcéj nie dowie,
Bo chory, chcąc coś mówić, zemdlał— może skonał.—

* * *

Gdyby się człowiek mógł wynieść nad ziemię,
Tam, pod błękitne obłoki,
I wzrokiem ducha pas jéj ogarnąć szeroki,
Ze wszystkich stworzeń, własne jego plemię,
Najcudowniejsze,
Najdziwaczniejsze,
Stawiłoby mu widoki.
Porównaćby je można z olbrzymim obrazem,
Błyszczącym rozlicznemi rysy i kolory,
W który swéj zleli fantazji twory,
Hogarth, Salwator i Sanzio razem.
Jakie są tylko w naturze przeciwy,
Ród nasz je zebrał, wcielił w swą istotę:
Wyższéj przyrody niepojęte dziwy,

I organizmu zwierzęcego skutki,
Bezbożną pychę i świętą prostotę,
Anielską czystość i nierząd szatana.
Ztąd się gnieżdżą obok siebie,
Szczęście, niedola, wesele i smutki;
Ztąd dusza wieszcza, ciągle kołysana,
Mieszka na przemian to w piekle, to w niebie,

Otoż i mnie się coś tak czasem roi.
A więc w ciągu téj powieści,
Myśl waszą wodzę, przyjaciele moi,
Od widoków natury do miastowych gmachów,
Na huczne tany od łoża boleści.

Wejdźmyż do domu Pani Starościny›
Jakże tu szumnie, wesoło!
Co tu pięknych Dam, co gachów!
Ci się w najlepsze wdzięczą do Hrabiny,
A tamte tworzą czarodziejskie koło,
Z którego Edmund wyrwać się nie może.

Zaledwie on w południe opuści swe łoże,
Już damy w Amazonkach, Hrabina na czele,
Angielczyk nogą kopie. Jak się tu wykręcić?
Dla tak ślicznéj przejazdki nie będzie za wiele
Godzinkę jaką poświęcić.

Jak ona piękna! Jakże jéj do twarzy,
Strój ten pół-męzki! Jak się w biegu konia,
By palma wschodu, kibić jéj nagina!
Jaki rumieniec na licach się żarzy!—
Kiedy tak pędzą przez laski i błonia,
Wkrótce Edmund i Hrabina,
Daleko wszystkich zostawują w tyle.
Jadą sam na sam.— Chytra pseudo-wdowa,
Zmieniła nagle swych sideł sprężyny:
Swawolna, pusta, uśmiécha się miłe;
O przeszłości ani słowa;
Odpuściła mu wszystkie, by najcięższe winy.
Wesoła między niémi toczy się rozmowa,
Śród któréj, to się nóżka wyśliznie z strzemienia,
To u popręgi ściągnąć wypadło rzemienia:
Usługa słodka — każdy z was wie o tém,
Jak towarzysząc, konno, pięknéj damie,
Rad człowiek takim trudzić się kłopotem,
Jak za najmniejszym usterkiem, podskokiem,
Objąć giętką jéj kibić gotowe jest ramie.—
Edmund Eweliny wdzięki
Chwyta coraz chciwszém okiem,
Cuglów jéj konia prawie nie wypuszcza z ręki,
A gdy cała czereda znowu ich nabieży,
Gdy który z grona młodzieży
Chciałby także jéj usłużyć,

Edmund zuchwalca takim wzrokiem mierzy,
Jakby, krom niego, nie wolno nikomu
Tego słodkiego przywileju użyć.
Ale już wtóra, czas wrócić do domu;
Wracają głodni. Daléj do śniadania,
Po którém Damy, dla przemiany stroju,
Każda do swego odchodzą pokoju.
Kilku się mężczyzn biorą do gazet czytania,
Reszta usiada grać w karty.
Już tłusty Baron sypnął trzos złota,
I chrapliwym głosem woła:
— Bank gotów. Czyja będzie ochota?
Tysiąc dukatów, nie żarty! —
Już Edmund zajął róg jeden stoła;
Fortuna doń się uśmiecha:
Bank się chwiać zaczął, Baron coś wzdycha,
A gracz szczęśliwy garnie pieniądze,
Trzymając w ustach cygaro.
Na wsi bo, wszystko uchodzi;
A te małe nałogi, te niewinne żądze,
W bogatym nie są przywarą;
Ubogiego to sławie lada co zaszkodzi.

Tak przepędzoną dnia połowę piérwszą,
Zamyka obiad suty i wesoły.
Blaskiem sréber i bronzów zajaśniały stoły,

Szampan igra w kryształach i przelewa w serca
Ochotę żywszą i szczérszą.
Tlejące żądze dotąd w iskierce,
Grożą wybuchnąć płomieniem.
Ach! bo gdy ramie pięknéj sąsiadki
Prawie się styka z twojém ramieniem,
Gdy jéj zrzenice w twych się odbiją,
A głosu tkliwsze, pieszczeńsze spadki,
Tajone czucia odkryją,
Ktokolwiek jesteś, jeśliś jest człowiekiem,
Roskosz twe zmysły ogarnie;
Chyba że nazbyt zgarbionemu wiekiem
Krew się już ścina śmiertelnemi lody,
A przeto nie dziw, że mój Rynald młody
Obok swojéj Armidy nie usiadł bezkarnie.
W walce miłości ze zmysłów roskoszą,
Gdy serce raz się zachwieje,
Biada mu! zmysły pędem je unoszą.

Obiad się skończył o zachodzie słońca,
Pogodny wieczor do przechadzki wzywa;
Wiją się strojne pary przez kręte aleje,
Obeszły park obszerny od końca do końca,
Rozrywają się potém, dzieląc się na grona;
Tam biała gondolka pływa,

Jak łabędź fantastyczny po jeziorku małém;
Owdzie między dwa maszty, śmiało, zawieszona
Łódka, z pięknym ciężarem, powietrze przeszywa,
A tu gołąbek (*) braci zatrwożył wystrzałem.
Tym czasem coraz gęstszy mrok ziemię okrywa,
Głąb' zwierzyńca już zlał się w jednę czarną massę,
Cieniującą jaskrawe zachodu obłoki;
  Lecz na zieloną przed domem terrassę
  Leją się z okien światłości potoki:
Podczas gdy z wnętrza jego niewidzialne chory,
Dają hasło do tańca wesołemi tony.
Dzwięki te ognistemi fasady otwory,
Wylatują rojami i w powietrzu płyną,
I w wolnych, miłych spadkach gdzieś w ciemnościach giną.

Czarowny widok Willi od zwierzyńca strony,
  Te promieniste okna i balkony,
  Te gruppy idealne pomiędzy drzewami,
Wzruszone harmonijną instrumentów wrzawą,
Dążące przez terrassę lekkiemi krokami,
Wszystko to tak powietrzne, mamiące, magiczne,

---

(*) Znajoma gra, w któréj ciśniony na sznurku, w cel ołowiany gołąbek, trafiając dziobem w mały otwór deski, porusza sprężyną ukryty za nią pistolet, który wystrzela.

Iż nadludzką zda się sprawą,
Oberon i Titania zstąpiwszy z obłoków,
Wyprawiają dla Sylfów gody fantastyczne.

Pusty przed chwilą salon zaludnił się nagle:
Jedne po drugich pary w bystrych kręgach płyną,
Lekkie, wzorzyste szaliki gazowe,
Unoszą się wzdymając jak pod wiatrem żagle.
Na czele Edmund z Hrabiną
Już z cicha urywaną prowadzą rozmowę,
Już pędzą po parkiecie, a sobą zajęci,
Stracili resztę świata w téj chwili z pamięci.—
Kiedy tak młodzież pląsa wesoło,
Starsi zajmują gabinet bokowy;
Tam się obok Starościny
Poufałe zbiera koło,
Tam się toczą przy wiście poważne rozmowy,
Tam w dobrym celu, nie w celu obmowy,
Bliźnich się czasem odkrywają winy—
Ktoś z tego grona zapytał nawiasem:
Czyby to prawdą bydź miało,
Iż blizko miasta, gdzieś w górach, za lasem,
Mieszka wygnaniec, a przy nim dziewczyna,
Tak piękna, jakiéj oko nie widziało?—
Na to odrzekła z marsem Starościna:
—Słyszałam o nich. Śliczna ma bydź para!

Dziewczyna młodzików zwodzi;
Starzec grał, mówią, rolę Karbonara,
I przed policiją uchodzi.—
—Mnie mówiono, (rzekł inny), że ten eremita
Jest coś gorszego— bo sławny bandyta!
Kupy opryszkow miał zbrojne i liczne;
Z temi się gracko w Bieskidach uwijał,
Podróżnych napastował i dwory rozbijał,
Aż pokonany przez straże graniczne,
Uciekł i w naszéj skrył się okolicy.—
Co się zaś tyczy téj młodéj dziewicy,
Czy ją ów zbójca wykradł, uprowadził branką,
Czy dobrowolnie jemu się oddała,
Nikt nie dociekł tajemnicy;
Może jego jest córką.... pewniéj że kochanką!..
—Przynętą, co mu ptaszków do sieci wciągała,—
(Rzekła z gorzkim uśmiéchem Pani Starościna).
—Co za okropność! (krzykną wszystkie Damy).
To mniejsza, kto ta dziewczyna,
Ale bandyta znowu swe zgromadzi hordy,
I szerzyć u nas będzie pożogi i mordy,
Jeśli rząd temu nie położy tamy,
Jeśli nas nie zasłoni od tego straszydła.—
Plotki, jak wiecie, duże mają skrzydła;
Temi skrzydłami gdy lecą,
Dmą w każdą iskrę, aż płomień rozniecą.

Więc w oka mgnieniu, powyższą nowinę,
Przeniosły do salonu, gdzie Edmund zdyszany,
Do nowego mazurka prowadził Hrabinę.
Słysząc szkaradną potwarz, stanął pomięszany,
Chciał coś wyrzec, w obronie przynajmniéj Giertrudy,
Zniszczyć swojém świadectwem pogłoski oszczercze,
Ale spostrzegłszy uśmiéchy szydercze,
Zamilkł, i zwykłym fortelem obłudy
Udał, że nic nie słyszał; bystrym więc poskokiem
Rzucił się w odmęt tańca, jak żołniérz nie mężki,
Po za gęste szeregi w bitwie się ukrywa.
Ewelina badawczém nań rzuciwszy okiem,
Wydała śmiech radośny, jak okrzyk zwycięzki.
Lekka jéj stopa chyżéj w tańcu pływa,
Bo rzekła w myśli: — Dusza jego płocha,
Zaparł się swéj kochanki, już więc jéj nie kocha!

Wtém się głos gospodyni ozwał w gabinecie:
—Ah, Pan Bruno! — witamy—nieskończenie rada,
Żeś się namyślił odwiedzić mię przecie —
Czemuż tak późno? Niechajże Pan siada—
Cóż tam na waszym słychać wielkim świecie?—
—Wielki świat tutaj (odrzekł słodkim tonem,
Obłudny dworak) miasto puste, głuche.

Pani zabrałaś wszystkie nasze kwiaty,
Łodygi tylko tam zostały suche.—
— Trzeba bydź Panem Brunonem,
(Rzekła z Dam jedna) by tak godzić snadnie
Grzeczność z dowcipnym ucinkiem.
— *C'est son fort,* (przerwie druga), ale to nie ładnie,
Że nie był w dzień urodzin swego przyjaciela,
Ani go żadnym związał upominkiem,
Kropelki wina nie wypił za zdrowie!—
— Żałuję bardzo, (Bruno jéj odpowie),
Żem nie mógł dzielić miłego wesela.
Gdzie są przeszkody, tam chęć bywa próżna;
Lecz co się tyczy upominku, można
Wiązać Solenizanta bez grzechu, po fecie;
Szczególnie przyjaciela. Ja więc Edmundowi
Gotuję takie wiązanie,
Jakiego nikt mu na świecie
Dać nie potrafi!—
—Cożto?—Niech Pan powie!—
—Najpokorniéj przepraszam— sekret— piękne Panie!—
To rzekłszy, przeszedł Bruno do balowéj sali.
Lecz go tam młodzi tancerze,
Mniéj uprzejmie przywitali.
Nie dziw; on w téj zabawie udziału nie bierze,
Chyba, że się po cichu wyśmiać kogo zdarzy.

Przechadzał się więc z uśmiéchem na twarzy,
Widząc, iż jego Hrabina
Wiodła, jakby w tryumfie, pojmanego zbiega.
Edmund skakał jak wściekły; wzrok jego i mina,
Skryty niepokoj serca wydawały.
Bruno się zbliżył, on go z razu nie postrzega;
Zobaczył wreszcie. Ten go ręką wita,
A wtém Edmund się rzucił doń zapamiętały,
Przerywa taniec, za ramię go chwyta,
I za drzwi, do zwierzyńca, ciągnie żapalczywie.
Bruno idąc bez oporu,
Rzekł z cicha: - Przyjacielu, nie zgadnę, prawdziwie,
Jaka bydź może przyczyna
Dziwnego twego humoru!
Wszyscy pomyślą, że wpadłeś w gorączkę.—

Edmund mu z palca zrywając obrączkę,
—Kto ci dał (krzyknie) ten pierścień?—
—Dziewczyna,
(Odparł spokojnie Bruno), alboż mnie biednemu
Bronisz słodyczy kochania?
Wszystkież na świecie piękności
Tobie się dostać powinny jednemu?—
—Płaskiemi żarty nie wzmagaj méj złości!
Nazwij twoję kochankę!—
—Honor mi zabrania.

Pomnij, Edmundzie, że w podobnym razie,
Świętą mi była twoja tajemnica!!—
—Potężna między nami w tym względzie różnica!
Twój sekret mnie obraża.—
—Daruj, przyjacielu,
Że nie rozumiem o jakiéj urazie
Chcesz mi powiedzieć. Bądź chwilkę cierpliwy,
Poznasz mą narzeczonę wkrótce na weselu,
Tam ci ją szczęsny przedstawię małżonek!—
—Szatanie! Więc mi powiedz, jeśli chcesz bydź żywy,
Samaż ci ona ten dała pierścionek?
Zaklinam ciebie. Dobij mię! skróć męki.—
—Mogę ci przysiądz, iż z jéj własnéj ręki
Obrączka przeszła prosto na mój palec,
Ale mię dziwi....—
—Dość!— więcéj ni słowa!
Żeń się, wiedz jednak wprzódy, że twa ulubiona
Nie kobiéta, lecz raczéj— wąż, żmija, padalec,
Wiedźma, co ci krew z serca wysysać gotowa!
Dzięki tobie, z mych oczu spadła już zasłona.
Teraz, jeśli chcesz, chowaj świętą tajemnicę:
Widzisz, że znam, dość dobrze, twą oblubienicę.
Ja lecę u nóg pięknéj błagać Eweliny
Odpuszczenia méj ciężkiéj, méj największéj winy.
Ten zaś pierścionek biorę, jako dowód zdrady;
Tém przekonam obłudnicę,

Jeśliby się kiedy chciała
Zapiérać swojéj szkarady:—
—Jakto? więc ona!!...—
—Tak jest, żoną mą bydź miała.—
—Giertruda?!—
—Tak, Giertruda, co dziś ciebie kocha.—
—Przysiągłbym, że niewinna, cnotliwa, nie płocha!—
—I jam na to przysięgnąć gotów był przed chwilą;
Obaśmy zapomnieli, że pozory mylą.—
—Wyrzeczmy się więc jéj oba!—
—Ty czyń jak ci się podoba,
Lecz o tém, com ci mówił, nikomu ni słowa.—
Na tém się dwóch przyjaciół skończyła rozmowa.

* * *

Zdarza się wprawdzie, iż pomyślny skutek
Wieńczy na chwilę występnych zamiary;
Lecz ich serce czystego nie dozna wesela.
W głębi takiéj radości ukrywa się smutek,
Jak męt gorzki na dnie czary;
Jest to napój czerpnięty z błotnistego zdroju,
Dar to z rąk nieprzyjaciela.
Bo dla złych nié ma i w szczęściu pokoju.
Dopięła życzeń swoich celu Ewelina;
Nie dość, że dawnych uczuć swych wyznanie,

U nóg jéj, Edmund odnawia,
Ale ją nawet zaklina,
By co prędzéj małżeństwem uwieńczyć kochanie.
Przecie ten pośpiech pożądany, luby,
Srogie jéj sercu udręczenie sprawia!
Dopóki piérwsze nie zerwane śluby,
Możnaż wejść w drugie zamęście?—
A Bruno doniósł, że, jak na nieszczęście,
Lubomir i Giertruda zniknęli bez śladu.
Dowcip Brunona zwyczajnie obfity
W chytre wybiegi, (tak, iż dotąd prawie
Nie było jeszcze przykładu,
Żeby zaradzić w złéj nie umiał sprawie),
Raz piérwszy w biegu swym stanął jak wryty,
Raz piérwszy zdrajca doznał zdrady losu.
Najważniejsza ofiara uszła jego ciosu;
Jakób nie wrócił, a Lubomir żyje,
Ewelina ni wdowa, ni rozwódka, przecie
Zręczona Edmundowi, a ten ją niezwłócznie
Prowadzić chce przed Ołtarz. Próżno wąż się wije
Rozlicznemi wykręty; źle mu się coś plecie
Sztuczna jego tkanina. Sam nie wie co pocznie.
Trzeba radzić, a trudno dobrą znaleść radę,
Co gorsza, już dlań Edmund nie ten, co był wprzódy,
Od ostatniego balu widoczna w nim zmiana:
Znienawidził Brunona za Giertrudy zdradę.

Bruno więc, jak widzicie, słuszne miał powody
Trwożyć się i bezsennie dumać aż do rana.
To miękkie, wygodne łoże,
Na którém zbrodzień się tarza,
Zda mu się łożem Prokusta:
Ni spać, ni czuwać nie może;
Bo choć głowę sen rozmarza,
Powieki stulić nie zdoła;
Przez wykrzywione konwulsyjnie usta;
Głuche się z piersi wyciskają jęki,
A w oczach cała izba kręci się do koła.
Takie to są zbrodniarzy przedpiekielne męki.—
Po tak przepędzonéj nocy,
Bruno wybladły, z osłupiałym wzrokiem,
Jakby wstał z ciężkiéj niemocy,
Marząc dzikie projekta bez żadnéj osnowy,
Poszedł do Eweliny chwiejącym się krokiem.
Już był przed jéj domu bramą,
Kiedy mu zawinęła jakaś myśl do głowy,
Myśl zapewne szatańska, bo z dzikim uśmiechem
Mruknął do siebie: — Znajdę-li ją samą?—
I wszedł na schody z pośpiechem.
Źle trafił: Edmund tam go był uprzedził;
Edmund także wstał raniéj, i w nie zwykłéj porze,
Swą narzeczoną dnia tego nawiedził.

Bruno wszedł nagle, nazbyt poufale,
W tak zaniedbanym ubiorze,
Że się Edmund obruszył, i w pierwszym zapale
Chciał mu drzwi wskazać, ale Ewelina,
Uprzedzając tę scenę, z przymileniem rzecze:
—Jeśli Pan Bruno uchybił grzeczności,
Czemu ja wcale nie przeczę,
Edmundzie! moja w tém wina;
Jam go prosić kazała, chcąc zasięgnąć rady,
W téj właśnie okoliczności,
Która zarówno ciebie, jak i mnie obchodzi.—
(I dodała po cichu)— Nie wszczynaj z nim zwady.—
—Edmund się ze mną, spodziewam, pogodzi,
(Rzekł Bruno, ukrywając złość i pomięszanie),
Bo kiedy kto pomyślną przynosi nowinę,
Stratąby czasu było meldowanie.
Ja uwiadomić śpieszyłem Hrabinę,
Że się znalazły, w Wiédniu, te papiery,
Bez którychby nie mogła w powtórne wejść związki...
Jam człowiek otwarty, szczery;
Źle znam świat, lecz tém lepiéj znam me obowiązki! —

Edmund radośnie krzyknął:— Dzięki Bogu!—
Lecz Ewelina jak chusta pobladła,

(Bo czarny pomysł Brunona,
Wnet, z przerażeniem odgadła).
Wspiera się na kochanku — — Wtém u drzwi opona
Zadrżała — rozchwiała się — i fałdami swemi;
Obwija postać starca niewzruszoną w progu....
To Lubomir. Z szyderskim, bolesnym wyrazem,
Patrzył na potruchlałych, zgnieciony ch do ziemi,
Jakby pasł chciwie oczy strasznym tym obrazem.

Minuta śmiertelnego ubiegła milczenia.....
Starzec je przerwał, i dobitnym głosem
Do Eweliny zwrócił, naprzód, mowę:
— Przychodzę, żono, ziścić twe życzenia —
Wywieść cię z niepewności i pojednać z losem.
Chcę ci oszczędzić pracy i zbrodni połowę,
Na drodze do nowego małżeństwa obranéj.
Śmierci mojéj ci trzeba, lub rozwodu ze mną:
Spolnik twój, Bruno, najkrótszym sposobem,
Miał cię do mety dowieść pożądanéj.
Lecz go piekło zdradziło— Minąłem się z grobem.
Pociesz się jednak, praca nie była daremną:
Twój nowy tytuł, nowe twe nazwisko,
Nie dały się domyślać, żeś tak była blizko,
Że cię już z innym wiążą zrękowiny;
Bruno mi, gońcem śmierci, przesłał te nowiny;
On cię opatrzyć pragnął przywilejem wdowy;

Ja me obmierzłe życie nadto jeszcze cenię,
Abym, dla twéj uciechy, umrzeć był gotowy.
Pozwolisz więc, iż zgon mój w rozwód dla cię
zmienię:
Masz, oto w tym papierze, prawne rozerwanie
Związku, co nas kojarzył — Wolnaś Ewelino —
Dar ten mój dostateczny na twe ukaranie.—
Żyj, jeśli możesz, wyzuta ze cnoty,
Z ciężącą na sercu winą,
Żyj z nowym mężem — z dawnemi zgryzoty. —
To wyrzekłszy, postąpił naprzód wolnym krokiem,
By złożyć pismo na stole:
Wnet Bruno, jak wilk w jamie, określił półkole,
I ku drzwiom runął poskokiem —
Ale, jakby się przed nim rozstąpiła ziemia,
Nie mógł przestąpić progu — Blada postać
Stała za drzwiami. Spojrzy — twarz Jakóba! — —
Chce doń coś wyrzec, lecz strach go oniemia,
Chce ją pominąć, strach mu każe zostać,
I tu, i tam, grozi zguba.

Wtenczas już starzec do niego się zwrócił:
— Ha, i tyś tutaj, poczciwy mój sługo!
Widok cię dawnego Pana,
Uważam, trochę zasmucił.
Stary Lubomir żyje, znajdujesz, za długo.

Zostań, chcę z tobą bliżej zapoznać młodziana,
Ktory ci zwierzył serce i majątek.
Słuchaj Edmundzie — słuchaj — i zadrżyj ! — dla ciebie,
Któregom zwał już synem — dla ciebie, rozwinę
Pasmo mych dawnych, bolesnych pamiątek:
Nędznik ten przyszedł do mnie o żebranym chlebie,
Jam do méj piersi młodą przytulił gadzinę,
Wychowałem starannie jak me własne dziecko,
Postawiłem go na mych domowników czele;
On za miłości i darów tak wiele,
W przepaść mię wtrącił zdradziecko!
Zniszczył mój handel, okradł mię — to mniejsza,
Czekała mię niewdzięczność jeszcze szkaradniejsza:
Małżonkę moję, którą kochałem nad życie,
O któréj cnocie sądziłem po wdziękach,
Tę, którą tu omdlałą na twych trzymasz rękach,
Zwiódł ten złoczyńca; a gdym ich poścignął,
Rzuciwszy mię oboje ujechąli skrycie.—

Na te straszliwe słowa Edmund wrzasnął wściekle,
Odtrącił Ewelinę, do Brunona skoczył,
Porwał silném ramieniem, do góry go dzwignął,
I wołając: — potworo, czas ci już bydź w piekle! —
Cisnął o ziemię, pierś kolanem tłoczył,

Szukając gardła, by go tchu pozbawić.
Lecz starzec nie dopuścił mu tego morderstwa.
— Nie naprawiaj twych błędów zbrodnią, młody człecze,
Los złoczyńcy winniśmy sądowi zostawić.
Wierz mi, on słusznéj kary nie uciecze,
On za swe zdrady, zbojectwa, oszczerstwa,
Zapłaci na tym, czy na drugim świecie.
Jakóbie! straż tu wprowadź... Weźcie tego człeka,
A patrzcie, by wam nie umknął. Już wiecie
Dokąd z nim trzeba.—
Edmund w osłupieniu,
Przed Lubomirem stał jak winowajca,
Który swego z kolei potępienia czeka.
Starzec nań patrzył, jakby w rozrzewnieniu,
I rzekł:— Młodzieńcze, wielkie i twe winy,
I tyś me serce wgrążył w żal niezmierny.—
— To nie ja, ojcze! to podły ten zdrajca!
(Wykrzyknął Edmund, padłszy na kolana).
W nim spolnych nieszczęść naszych widzimy przyczyny.
On także zwiódł Giertrudę.—
— Stój, ty lekkowierny!
(Zagrzmiał głos starca). Wiedz, że nigdy w życiu,
Córka ma nie spojrzała na tego szatana.
Prócz biednych mieszkańców sioła,

Tyś jeden, w naszém ukryciu,
Oglądał mego anioła.
Giertruda, po stracie matki,
Chowała się u ciotki, w dalekim Klasztorze;
Tam w gronie świętych niewiast, przy czułym dozorze,
Rozkwitła w piękność i duszy i ciała.
Poźniéj, gdy ręka Boska nade mną ciężała,
Gdym z mojego rozbicia smutnych dni ostatki
Uniósł w dalekie strony, by umrzeć nieznany,
Przyszła dzielić mą nędzę, koić ból méj rany,
I gorzkich wspomnień omroczone cieniem,
Rozjaśniać życie moje cnót swoich promieniem.
Nieszczęsna gwiazda przywiodła w tę stronę
Dwoje mych wrogów: Brunona i żonę:
Tyś został trzecim. Pod waszemi ciosy
Upadła cicha dwóch istot pomyślność!
Na nowe ich wygnanie skazują złe losy.
Rozważ, młodzieńcze, przygody straszliwe,
Które zrodziła twoja lekkomyślność:
Miałeś przed sobą życie spokojne, szczęśliwe,
Na łonie prawéj miłości i cnoty;
Zły wybór przyjaciela, rozpustne zaloty,
Zrobiły cię narzędziem nikczemnych zbrodniarzy.
Tyś się zaparł Giertrudy, nie zgromił potwarzy!
Ty zmysłowéj roskoszy dałeś na ofiarę

Uczciwą miłość i uczciwą wiarę!
Słabéj Brunona intrygi sprężyny
Skruszyłyby się, gdybyś ty był czysty,
Gdybyś ufał kochance, wnet poznałbyś zdrajcę.
Ale wdzięki Eweliny,
Lecz chuci twych pęd ognisty,
Odjęły ci sąd zdrowy, uwierzyłeś bajce.—
—Bajce!— (wyjęknął Edmund).
—Tak jest. Oto czytaj
Szczére wyznanie sługi, wiernika Brunona;
To cię o niewinności Giertrudy przekona;
Tu zaś znajdziesz swe własne do *Hrabiny* listy.
Jak one rąk mych doszły, jéj saméj zapytaj;
Ja się zaś z nich przekonałem,
Żeś nie wart méj przyjaźni, ni méj córki ręki.
Nie słucham zaklęć—Bądź zdrów.—Bogu dzięki,
Ostatnie z ludzkim rodem związki me zerwałem.—

Poszedł — a biédny Edmund stał nie poruszony...
Straszliwa prawda przed nim się odkryła...
Aż wtém usłyszał krzyk nagły, stłumiony,
Jakby pękniętéj jęk serca sprężyny;
Krzyk ten się z piersi wydarł Eweliny...
Edmund zbliżył się do niéj.... Nieszczęsna nie żyła!

* * *

Konieczże już powieści?—A siostra Giertruda?—
Czemuś ją nazwał siostrą?—pytacie słuchacze.—
Chciałem urwać, bom długie wam naprawił cuda;
Lecz jeśliście nie syci — gdy koniecznie chcecie—
Słuchajcież, wnet zagadkę wam tę wytłumaczę.

W podróżach moich bez celu po świecie,
Traf mię sprowadził w piękną okolicę
Własnéj ojczyzny. Z pociechą prawdziwą,
Wielkąm w niéj znalazł różnicę
Od innych części kraju. Wszystko tu do koła
Stroi się w barwę szczęśliwą.
Weseli tu są ludzie, natura wesoła.
Wioska to wprawdzie malutka,
A co więcéj, polska wioska,
Ale kształtna i czyściutka;
A z tych domków białych, jasnych,
Uciekła nędza i jéj siostra — troska.
Rolnicy pilnie uprawiają łany,
Bo też pracują na polach swych własnych.
Wpośrodku sioła Kościoł murowany
W gotyckim stylu; ciemne jego ściany
Dobrze się żenią z białémi budowy
I z zielonémi ogrody;
Za wioską strumień bystre pędzi wody,
Na nim most z drzewa, z poręczami, nowy,

Z pięknym posągiem błogosławionego
Jana z Nepomuk; napis na podstawie:
»*Na nieprzyjaciół Pan odwrócił strzały,*
»*Jam został cały*" (*).

Więc, jak niegdyś Krasicki we wsi Podstolego,
Pytam wieśniaków ciekawie:
— Kto most zbudował?—
— Siostra Giertruda.—
— Kto Kościół? szpital zmurował?—
— Siostra Giertruda.—
Na każde moje pytanie
Jedna odpowiedź:— Giertruda.—
—Wielki bydź musi fundusz?—
— Żadnego nie mamy.—
—A któż podaje środki?—
— Opatrzność, mój Panie!
Ale otoż i ona wychodzi ze bramy—
Młoda, bo nasza matka wiedzie żywot ostry.
Chorych w Szpitalu idzie opatrzyć zapewne.—

Ujrzałem pod kornetem Miłosierdzia Siostry
Twarz prawdziwie anielską. W dużém ciemném
oku

(*) Z Psalmu CXXXVII.

Słodycz i uczucie rzewne,
Postawa pełna uroku.

Przywitała mię z pełną godności prostotą,
I z pogodnym uśmiéchem rzekła:—Jeśli wola
Obejrzeć nasze małe ludzkości zakłady,
Służyć mu będę z ochotą.—
Zwiedziliśmy domostwa, Szpital i pracownie;
W każdém miejscu błoga dola
Mieszkańców małéj osady
W niemych zgłoskach do serca przemawia wy-
mownie.
Kogoż podobny widok nie poruszy?—
Com więc uczuł w mojéj duszy,
Łatwo sobie wystawicie.
Nie byłem w stanie szerzyć się z pochwały,
I te się tylko słowa z serca mi wyrwały:
—Szczęśliwi, którzy tutaj pędzą życie.—

Wtém się ktoś ozwał za mną:—prawda przyjacielu,
Szczęśliwi co tu żyją.—Zwracam się zdumiony:
Przede mną Edmund. Jam go, przed lat wielu,
Zostawił dzieckiem, w obce idąc strony;
Teraz ujrzałem mężem. Mimo lat różnicy,
Czułem go kochał i miałem wzajemność,

Nie dziw więc, że mię poznał, żem go bez trudności
Przypomniał sobie. Taż rysów przyjemność,
Tenże sam ogień w źrzenicy,
Lecz złagodzony odcieniem rzewności;
Włos się przerzadził na wyniosłém czole,
A ze dwie zmarszczki nad brwi łukiem ciemnym
O walkach burzliwego świadczyły żywota:
Zostały w sercu blizny, przeminęły bole;
On był szczęśliwy... lecz szczęściem nadziemném,
Szczęściem poważuém, jakie daje cnota.

Długo na mojém łonie serce jego biło.
A gdy wyszedł z mych objęć—Giertrudy nie było.—
Edmund wiódł mię gościńcem za most w gaj brzozowy,
Usiedliśmy na ławce, i tam w ciągu żywéj,
Z serca płynącéj rozmowy,
Opowiedział mi swoje przygody, od czasu
Rozdziału ze mną, do téj chwili nieszczęśliwéj,
W któréj stracił Giertrudę. W tém miejscu powieści
Zatrzymał się... słuchamy... po drodze z za lasu
Coś gwarnie turkocze, szeleści.—

Wnet ujrzeliśmy tabor, i błyskanie broni,
I ciągnących leniwie wozy chłopskich koni,
I do żelaznéj sztaby, skowanych za ręce,
Dwa rzędy winowajców na Sybir pędzonych.
Z wychudłych twarzy i grzbietów zgarbionych,
Mogliśmy sądzić o nieszczęsnych męce.
Niektórych więźniów wzrok dziki, bezwstydny,
Świadczył o wiecznym do zbrodni nałogu:
Szli klnąc świat cały i złorzecząc Bogu.
Jeden, szczególnie ohydny,
Miał w swéj postaci wyryte znamiona
Szalonego Cynizmu krwawożernéj duszy:
Głos jego wściekły, wrzaski innych głuszy—
Edmund nań spojrzał i poznał—Brunona.
Zbrodniarz ku niemu się zwrócił,
Jął go przeklinać, ale on mu rzucił
Swoję sakiewkę. Brzęknęły kajdany,
Wszczęły się nowe wrzaski, dziki śmiech i swary,
Aż wreszcie z oczu naszych znikły te poczwary.

Edmund stał chwilę smutnie zadumany,
Potém rzekł do mnie:—Widok tego zbrodnia
I spadłéj nań z wyroków Najwyższego kary,
Odnawia w sercu mojém żal i wstyd głęboki.
Ten to więc człek mną rządził!!—Taka to po-
chodnia

Młodości mojéj oświecała kroki!!!
Obym był już na téj ziemi
Ostatnim takiéj płochości przykładem,
Oby Bruno ostatnim już był z tych szatanów,
Co roskoszy zdradliwemi
I pochlebstwa jadem,
Trują dusze tysiąca niebacznych młodzianów!

Związku mojego z tym posłańcem piekła,
Straszliwe skutki powiedziałem tobie.
Długo mną rozpacz miotała wściekła,
Chciałem mych cierpień szukać kresu w grobie,
Bóg mię odwrócił od tego zamiaru:
Głos jakiś wnętrzny, z łona méj zgryzoty,
Kazał na drodze opuszczonéj cnoty,
Szukać ulżenia nędzy méj ciężaru.

Poszedłem za tym głosem, i wnet w sercu mojém
Łaski niebieskiéj objawił się skutek;
Miejsce rozpaczy zajął słodki smutek,
Dusza się oswoiła ze swym niepokojem,
A z powrotem do cnoty wzrastała powoli
Nadzieja, że Giertrudę znaleść Bóg pozwoli.
Światłem téj gwiazdy wiedziony,
Wziąłem laskę pielgrzyma i poniosłem kroki

W obce i dalekie strony.
Alem naprożno zmierzył świat szeroki,
Daremne były me trudy,
Nigdziem nie znalazł Giertrudy!

Nie znikła przecie w chmurach przewodnicza gwiazda.
Po dwuletnim bez przerwy za lubą zagonie,
Zwróciłem kroki ku ojczystéj stronie,
Jak ptak wędrowny polot swój do gniazda.—
Pojmujesz jak gwałtowna chęć me serce zdjęła
Cichą zwiedzić okolicę,
Miejsce, gdziem ujrzał boską tę dziewicę,
Gdzie się tak czysta miłość między nami wszczęła.

Świadom każdéj tu ścieżki, każdego manowca,
Gaj ten przebiegam o zmroku,
Dążąc ze łzami i w sercu i w oku,
Do téj szczęścia mojego kolébki—grobowca!

W dworku błysło światełko, pies przed progiem szczeka...
Pukam—a w chwilę nie długę
Bramka się otwiera,
I z niéj wychodzącego spostrzegam człowieka,
Poznaję w nim—Jakóba, owego to sługę,

Piérwéj Brunona, poźniéj Lubomira;
I on mię poznał, uprzejmie powitał,
A gdym ze trwogą o Giertrudę pytał,
Odrzekł mi: — Stary mieszka tutaj ze mną,
Panienka zaś tam we wsi na dole, w Klasztorku;
Rok bowiem drugi jak mniszką została.—
Na tę wieść nogi zadrżały pode mną:
Jakób mię zaniósł bez czucia do dworku.
Choroba moja szybko się wzmagała:
Stan mój, acz niebezpieczny, nie był dla mnie srogi,
Był to owszem zachwyt błogi,
W którym po niebie, z aniołem, z Giertrudą,
Zdawało mi się, latałem.
Roskosz ta była nie całkiem ułudą,
Sprawioną choréj wyobraźni szałem.
Giertruda codzień u mego węzgłowia
Czuwała, pókim nie przyszedł do zdrowia.

Po długiéj wreszcie chorobie,
Wróciło nowe życie, a z nim dawne żale;
Ale gdym znowu ujrzał ją przy sobie,
Gdy znów, jak niegdyś, słodko, poufale,
O zdrowie moje pytała:
Gdy mię, jak dawniéj, synem zwał Lubomir stary,
Oh, wtenczas zdało mi się, żem znowu w zachwycie,
Że to błogiego snu cudowne mary,

Lub że dusza swobodna od ciężaru ciała,
Nowe w krainach szczęścia rozpoczęła życie.
Lecz ta roskosz krótko-trwała,
Zamieniała się w rozpacz; bo gdym okiem rzucił
Na Giertrudę, w zakonne otuloną szaty,
Czułem całą straszliwość niezwrotnéj méj straty.
Prosiłem Boga, by me życie skrócił.
Ona zaś temi słowy żałość mą koiła:

— Nie złorzecz przeznaczeniu, Edmundzie kochany!
Nie myśl, żeś mię utracił, żem ja cię straciła,
Będziesz szczęśliwy, bom ja jest szczęśliwa;
A szczęście nasze nie dozna już zmiany.
Bóg cię nie darmo wyrwał z rąk złośliwych,
Co na twą duszę czyhali,
Wyrwał ze świata odmętów burzliwych,
I z twoich własnych namiętności fali:
On i Giertrudę dla ciebie ocalił,
Bo chciał, byś dobroć Jego wiecznie chwalił.

Pomnisz słodycze naszéj przyjaźni,
Kiedy ukryci przed okiem świata,
Ty mię, jak siostrę, ja bez bojaźni,
Kochałam ciebie jak brata?

Doznałam poźniéj miłości innéj,
  Palącéj serce jarkim płomieniem,
Lecz szczęście było w tamtéj niewinnéj,
  Ta była więcéj cierpieniem.

Bo piérwsza czysta, płynęła z duszy,
  Druga już bardziéj ziemska, cielesna;
Tamta więc błoga, śmierć jéj nie skruszy,
  A ta dręcząca, doczesna.

Téj to doczesnéj jam się wyrzekła,
  By wiernie tobie dochować piérwszą,
Przetom zakonną szatę oblekła
  Z radością serca najszczérszą.

Bo kto chce służyć niebieskiemu Panu,
  Niechże Mu służy z weselem,
A złe to serce, co z odmianą stanu,
Zrywa cnotliwy związek z przyjacielem.

Jam zawsze miała przeczucie tajemne,
Że przyjaźń nasza nie poniosła szkody,
Że, mimo wrogów zabiegi nikczemne,
W duszy twéj cnoty przetrwają zarody,
Że z łona nieszczęść i z sideł obłudy
Wyjdziesz jak złoto z ognia, a sercem wiedziony
  Wrócisz w ojczyste strony,
  Znajdziesz schronienie Giertrudy.

8*

Znalazłeś — nie ustawaj w téj ostatniéj probie,
Oswój się z siostry widokiem,
Patrz na mnie czystém, nie namiętném okiem,
Jakeś mię chory, śniąc widział przy sobie.

Za łaską Boga, uczujesz nieznacznie,
Skażonéj w sobie natury wyzucie,
Zamrą w twém łonie twe gwałtowne chucie,
Niebo dla ciebie na ziemi się zacznie.

Pracujmy społem dla dobra ludzkości,
Nieśmy nędzarzom wsparcie i pociechę,
Niechaj z rąk naszych dary Opatrzności
Płyną na ubogich strzechę.
Wierz mi, Edmundzie, to szczęście niewinne,
Nie jest chimerą, nie jest idealem,
Wszystkie je znają serca dobroczynne,
Ty je uczujesz z zapałem.

Miłość Boga, ludzkości, oraz przyjaźń święta,
W słodsze, silniejsze niż świat, ujmą ciebie pęta;
Rozdzielisz się z Giertrudą, lecz docześnie— ciałem,
Duszą będziemy razem, a po krótkiéj przerwie
Nic już naszego związku nie rozerwie.—

Tak mówiła dziewica: a jéj twarz natchniona,
Każdemu wyrazowi dodawała mocy;

Taki wzrok mieć zapewne musieli Prorocy,
Kiedy słów ich słuchała tłuszcza zachwycona;
Taki głos był tych dziewic, które do męczeństwa
Wiodły swoich kochanków cudowną wymową.
Rada Giertrudy pełną była okrucieństwa,
Nakazywała rozdział z méj duszy połową,
A przeciem się nie gniewał, i słów jéj słuchałem
Z jakąś smutną słodyczą, i serce powoli
Przejęło się nieznanym, niebieskim zapałem.
Znów błysnęła nadzieja, ale wcale inna:
Nadzieja przyszłéj, wiecznie błogiéj doli,
Ta zaś przyjaźń cnotliwa, ta miłość niewinna
Objęła czucia moje cudownym urokiem;
Łzy słodkie twarz mą oblały potokiem,
I zginając przed cnotą czoło dotąd harde,
Wykonałem warunki dla kochanka twarde.

Mimo szałów młodości, jeszczem dość bogaty.
Rozdzieliłem więc na poły
Znaczne z dóbr moich intraty:
Część ich jedną poświęcam dla dobra mych kmieci,
Na rolnicze zakłady, oraz wiejskie szkoły,
A drugą dla Giertrudy ukochanych dzieci,
Dla ubogich mieszkańców téj tu okolicy.
O, jak też wszystko kwitnie pod jéj okiem!
Nikt zaś nie wié serc naszych słodkiéj tajemnicy.

Bywam tutaj niekiedy nikomu nie znany,
By się dzieła Giertrudy ucieszyć widokiem,
Aby ją ujrzeć samą, od niej nie widziany,
Jak ów rycerz Szyllera, z swéj chatki w dolinę
Patrzył co dnia na Klasztor, na swoję Celinę.
Bez téj pociechy zwalczyćbym nie mógł tęsknoty.
Pisujemy do siebie, a każdy jéj listek
Na chmurne moje niebo rzuca promień złoty.
Pokażę ci te pisma, w których cudnéj treści,
Rozlany pięknéj duszy ogień i wdzięk wszystek;
W nich znajdziesz dopełnienie téj mojéj powieści,
I co ci się w Giertrudzie zdało niepojętém,
Uznasz prawdziwie wielkiém, nazwiesz, ze mną, świętém.—

Edmund skończył. Jam poźniéj przeczytał te listy:
Może mię sczarowały, ale już nie śmiałem
Zwać ten ich związek, tak słodki, tak czysty,
Religijnego uniesienia szałem.

Nie sądźcie tedy, przyjaciele moi,
Méj bohatérki ze słów téj powieści,
Ani się komu niech w głowie nie roi,
Żem chciał wystawić ideał niewieści.
Powiedziałem com słyszał i com uczuł w duszy;
Jeśli więc los tych osób silnie was nie wzruszy,

Na waszego bajarza całą złóżcie winę:
Wszakże szło, aby zabić wam czasu godzinę;
Lecz jeśli kto słuchając tych przygód zawiłych,
Mimo rozwlekłość stylu, doznał wrażeń miłych,
  Jeśli na zegar coraz nie pogląda,
O losie zaś kochanków dowiedzieć się żąda,
Dla takiego dodaję — choć wspomnieć boleśnie —
Że oboje z tej ziemi zniknęli zawcześnie...
Edmund poległ na wojnie, broniąc swéj ojczyzny,
A Giertruda ranionych opatrując blizny,
Choroby zaraźliwéj jad wciągnąwszy w siebie,
Poszła dotrzymać słowa Edmundowi w Niebie.

KONIEC.